

3/2014

KALEJDOSKOP

SPIS TREŚCI



22



25



36

Wydarzenia	4	Rousseau, Tarzan i Kozyra	28	Wola plebana	46
Teatry	7	Piotr Grobliński		Bogdan Sobieszek	
Wystawy	9	Pupę ma każdy	30	Maria z Polesia	49
Premiery filmowe	11	Małgorzata Karbowskiak		Maciej Cholewiński	
Armatka kultury wypaliła!	12	Książki wśród kosmetyków	31	Mistrzowskie fanaberie	50
Piotr Grobliński		Michał Jagiełło		Bogdan Sobieszek	
Przedmiot podążania	15	Portfolio Normy Ilnickiej	32	Powrót Kleckiego	51
Andrzej Poniedziałki		Panny ze Skoszew	34	Janusz Janyst	
Obywatel świata z L.Stadt	16	Andrzej Sznajder		Wojna o kina	52
Z Łukaszem Lachem		W niewoli ołówka	36	Krzysztof Paweła	
rozmawia Bogdan Sobieszek		Monika Nowakowska		Perelki i pancerze	54
Reklama może	21	Archipelag nowoczesności	38	Bogdan Sobieszek	
Piotr Grobliński		Aleksandra Talaga-Nowacka		Odkrywczy pamięci	56
Życie za kulisami	22	Słowa, słowa, słowa	41	Anna Guszczar	
Z Edwardem Kottkiem		Aleksandra Talaga-Nowacka		Dialog z historią	58
rozmawia Piotr Grobliński		Wylatują z gniazda	42	Joanna Podolska	
Teatr wychodzi do ludzi	24	Aleksandra Talaga-Nowacka			
Dariusz Drewnicz		Sztuka relaksu	43		
Maskarada do kwadratu	25			I str. okładki:	
Małgorzata Karbowskiak		Z dziennika naczelnej	44	ŁUKASZ LACH,	
Kraina czarów	26	Małgorzata Karbowskiak		lider kłodzkiego zespołu L.Stadt	
Renata Nolbrzak		Kultura w roku 2000	45	– wywiad na str. 16	
				Foto: KATARZYNA GRZELAKOWSKA	

SŁOWO O KALENDARIUM



„To było jedyne w regionie kompendium wiedzy o tym, co dzieje się w kulturze w ciągu całego miesiąca – bardzo tego brakuje”, „Wielka wartość, bez której *Kalejdoskop* nie jest już taki sam”, „Na podstawie informacji z kalendarium umawialiśmy się całą grupą na wyjścia”, „Przykra niespodzianka na 40-lecie *Kalejdoskopu*” – to tylko wyjątki z tego, co usłyszeliśmy przez telefon i przeczytaliśmy w e-mailach do nas po tym, jak w numerze lutowym pierwszy raz od początku istnienia naszego pisma nie ukazał się wykaz imprez kulturalnych we wszystkich teatrach, muzeach, galeriach i domach kultury.

Bardzo ważne są dla nas opinie czytelników, dlatego myślimy, co zrobić, by i wilk był syty, i owca cała – by był komplet informacji o wydarzeniach, a zarazem sporo tekstów o regionie, czego oczekuje od nas wydawca. Niewykluczone, że kalendarium – może w trochę innej formie – wróci. Prosimy o cierpliwość...

A tymczasem – ciąg dalszy naszego jubileuszu. Wracamy do tego, co było, zamieszczamy wspomnienia osób dawniej związanych z „Kalejdoskopem” i opinie o piśmie ludzi aktualnie w łódzkiej kulturze najważniejszych.



MÓWIĄ O NAS

Tomasz Bęben dyrektor naczelny Filharmonii Łódzkiej



Gdy lata temu rozpoczynałem pracę nad własnym festiwałem, „Kalejdoskop” jako pierwszy wsparł moją pracę. Kiedy zobaczyłem tekst poświęcony Sieradzkiemu Latu Muzycznemu – bo tak początkowo nazywały się Kolory Polski – czułem radość i dumę. Później „Kalejdoskop” już regularnie publikował artykuły o festiwalu, niekiedy pisałem je ja sam. Ta współpraca przeistoczyła się w stałą relację.

„Kalejdoskop” zajmuje ważne miejsce na mapie mediów poświęconych kulturze. Jest ważnym narzędziem promocji ludzi kultury i ich działań. Znajduje też miejsce na poezję, na szerszą refleksję, dba o perspektywę regionu. Najnowsze numery zawierają rozważania o kondycji współczesnej kultury, o tym, jakie powinny być domy kultury, w tym ŁDK, w jaki sposób po-

winny działać instytucje kultury. W tych tekstach da się przeczytać, że sam „Kalejdoskop” też poszukuje pomysłu na siebie. Wiek pisma można porównać z wiekiem człowieka: 40 lat to moment, gdy dokonuje się rachunku sumienia, spogląda się wstecz, a jednocześnie zastanawia nad tym, jak dalej ma wyglądać życie. Wiek zobowiązuje i narzuca pewien styl bycia: nie jest się już młodzieniaszkiem.

„Kalejdoskop” mógłby przejść w wiek wczesnoprofesorowski i stać się pismem, które dostarcza wiedzy nieco z perspektywy katedry uniwersyteckiej. Przed pismem stoją kluczowe pytania: czym ma być w nowej rzeczywistości, w której ogromnego znaczenia nabrały media lokalne i wypierają je z przestrzeni, w której do tej pory funkcjonowało.

Moim zdaniem „Kalejdoskop” mógłby dawać obraz tego, co dzieje się poza granicami regionu. Tam można znaleźć inspiracje. Powinien stać się platformą wymiany idei, przestrzenią prezentacji refleksji twórców i animatorów. Czytelnicy „Kalejdoskopu” mogliby wypowiadać swoje potrzeby i stawiać pytania. Redakcja pisma musi szukać odpowiedzi, dostarczać wiedzę, inspirować. Mówię to jako wciąż aktywny czytelnik. W „Kalejdoskopie” jest potencjał, by zredefiniować pewne sprawy, widać, że „szykuje się do skoku”.

WSPOMINA

Marek Miller ✱

Straciłem pracę w „Radarze” i nagle musiałem zacząć wszystko od nowa. Zaczynałem więc jesienią 1986 roku w „Kalejdoskopie”. To był bardzo ciekawy okres w Łodzi. Działał teatr Szkoły Filmowej kierowany przez Pawła Nowickiego, gdzie odbywały się próby otwarte, wystawy, manifesty, prężnie działała grupa Łódź Kaliska. Z tymi dwoma środowiskami byłem związany. W tym czasie również napisałem ważne dla mnie książki: „Filmówkę” (z Zosią Turowską, Waldkiem Wiśniewskim i Krzyśkiem Krubskim) i „Arystokrację”. Wtedy też w redakcji zebrała się grupa ciekawych ludzi: Zbigniew Koszałkowski i Zbigniew W. Nowak,

który potem założył własne pismo. Dla mnie jako reportera był to kapitalny poligon doświadczalny, bo wpadłem na pomysł, że można pisać krótkie reportaże. Pisałem np. o tym, że Kordian co wieczór zabija cara, a od rana musi stać w kolejce z kartkami na mięso. Ta forma mnie urzekła, więc gdybym był w „Kalejdoskopie” dłużej, to pewnie bym to robił. W tym czasie znalazłem też żonę Tereskę, która pracowała w Centrum Informacji Kulturalnej przy Piotrkowskiej, gdzie wychodził „Kalejdoskop”. Jak na jedno pismo i niespełna trzy lata pracy to dużo bardzo ważnych dla mnie wydarzeń. Pisałem na łamach „Kalejdosko-



pu” o Jerofiejewie. Byłem potem z Niną Czerkies w Moskwie, gdzie poznałem żonę pisarza. Robiłem też dla „Kalejdoskopu” rozmowy z ważnymi postaciami tamtych czasów – między innymi z Romanem Polańskim, Lindsayem Andersonem i Jerzym Kosińskim.

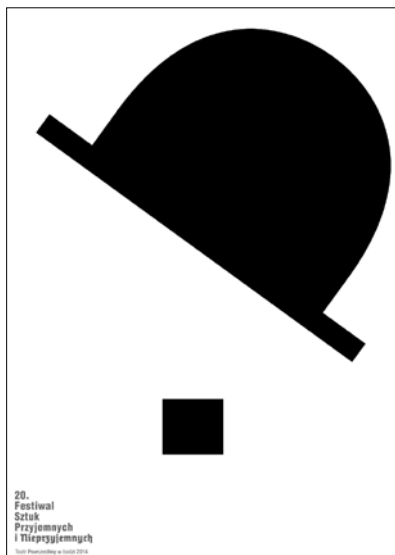
Z archiwum „Kalejdoskopu” (nr 11/1974) ✱



Fragment rozmowy z **Danutą Muszyńską-Zamorską**, artystką znaną z obrazów przedstawiających dzieci, reprodukowanych masowo w formie pocztówek:

(...) Fascynują mnie dzieci wyróżniające się swą indywidualnością i sposobem bycia. Nigdy nie budziły mojego zainteresowania dzieci układne. (...) Uważam, że dziewczynki są bardziej „dekoracyjne” i wdzięczniejsze jako temat do malowania. Długie włosy, kokardy to elementy dla malarza nie do pogardzenia. (...) Oprócz kobiecych aktów, studiów portretowych dzieci

i ludzi starych (...) mam zamiar stworzyć cykl portretów dostojników kościoła prawosławnego. Byłyby to impresje z podróży do Armenii. Temat ten zafascynował mnie ogromnie, podobnie jak niegdyś zafascynowały mnie dzieci Egiptu. (...) To przypadek zrządził, że maluję akwarelą. (...) Farby te były po prostu tańsze. (...) Ulubionymi moimi kolorami była sepia, brązy i błękity. Tym kolorom zostałam wierna, podobnie jak zostałam wierna technice artystycznej: rysunek – akwarela, chociaż ostatnio maluję również olejem.



Teatr niekoniecznie przyjemny

Jubileuszowy XX Międzynarodowy Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych odbędzie się w Teatrze Powszechnym (ul. Legionów 21) w dniach 15 III – 4 IV pod hasłem „Mistrzowie”. Na inaugurację 15 III o godz. 19 zaplanowano spektakl „Nietoperz” (reż. Kornél Mundruczó, TR Warszawa), a 23 III o godz. 19 zobaczymy „Poczekalnię” (reż. Krystian Lupa, Teatr Polski we Wrocławiu). 27 i 28 III o godz. 19.15 – światowa prapremiera przedstawienia kijowskiego Teatru DAKH pt. „Buda dla psa. Widok z góry. Widok z dołu”, według dzieł KLIMa, Dostojewskiego, Franko, Machiavellego i innych.

Będą też dwa panele dyskusyjne. Pierwszy, pt. „Mistrzowie”, odbędzie się 23 III z udziałem m.in. Krystiana Lupy (moderator – Jacek Żakowski). Drugi, pod hasłem „Wojownicy i świadkowie” – 28 III z udziałem ukraińskich pisarzy, dramaturgów i artystów.

Program i relacje z festiwalu – na stronie e-kalejdoskop.pl. *

Święto Melpomeny

27 marca przypada Międzynarodowy Dzień Teatru. Z tej okazji piąty raz odbędzie się w Łodzi akcja „**Do-tknij teatru**”. W dniach 27 III – 6 IV zaplanowano ponad sto imprez w całym mieście, m.in. spektakle, warsztaty i wystawy (w szpitalach, bramach, tramwajach, Muzeum Miasta Łodzi, na Rudzkiej Górze, w stajni w Skotnikach). Więcej – na str. 24. *

Studenckie starcie

W marcu odbędą się obydwie edycje Konkursu im. Władysława Strzemińskiego dla studentów Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi: Sztuki Piękne i Projekt (pod patronatem „Kalejdoskopu”). Ekspozycja prac projektowych będzie czynna od 1 III (wernisaż i wręczenie nagród – 13 III) w Centrum Promocji Mody ASP (ul. Wojska Polskiego 121), natomiast otwarcie wystawy poświęconej sztukom pięknym odbędzie się 17 III w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza (zobaczymy tu prace laureatów tegorocznego konkursu – nagrody zostaną wręczone podczas wernisażu). *

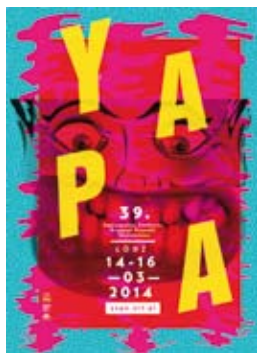
Salon najlepszych

W ramach obchodów Święta Uczelni 24 III o godz. 18 w nowej Sali Koncertowej Akademii Muzycznej w Łodzi przy ul. Żubardzkiej 2a zaplanowano „**Salon absolwentów**” – spotkanie z wybitnymi artystami, którzy ukończyli tę szkołę: Wandą Wilkomirską, Teresą Żylis-Garą i Włodzimierzem Korczem. Oprócz rozmów z artystami będą muzyczne prezentacje obecnych studentów akademii. Bezpłatne wejściówki do odbioru w kasie Sali Koncertowej w dni robocze w godz. 15-18. *

Młodzi drą japy

W dniach 14-16 III na Politechnice Łódzkiej (al. Politechniki 11, Studium Wychowania Fizycznego i Sportu) odbędzie się 39. **Ogólnopolski Studencki Przegląd Piosenki Turystycznej Yapa**. W konkursie wezmą udział zespoły i soliści wykonujący szeroko pojętą piosenkę turystyczną, studencką, a także poezję śpiewaną. Występy debiutantów przeplatane są koncertami gwiazd. Wystąpią m.in.: Nijak! i Bohema.

Na yapowej scenie swoje pierwsze kroki stawiali m.in.: Stare Dobre Małżeństwo, Wolna Grupa Bukowina, Wały Jagiellońskie czy Elżbieta Adamiak. Yapa jest organizowana przez studentów. Od początku związany jest z nią Studencki Klub Turystyczny PŁazik oraz Studenckie Radio Żak, potem dołączyło również Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich w Łodzi. *



stiwał wyruszy w Polskę. Autorskie filmy animowane zawitają do 44 miejscowości, m.in. do Bełchatowa, Zgierza, Torunia, Warszawy. W programie znajdzie się pięć bloków konkursowych prezentujących najnowszą polską animację w czterech kategoriach: studyjnej / szkolnej / off&workshop / wideoklip. Ponadto w wielu miejscach program wzbogacony zostanie o projekcje towarzyszące (także dla dzieci i młodzieży), warsztaty animacji, spotkania z twórcami, prelekcje. Filmy walczyć będą o Złote, Srebrne i Brązowe Tobolki Koziołka Matołka. Kto wygra, zdecyduje publiczność wszystkich pokazów. Wielki finał w dniach 5-8 VI w Muzeum Kinematografii. *

Organiści na start

Koncertem na organach w kościele pw. św. Mateusza Ludger Lohmann ze Stuttgartu 2 III o godz. 17 zainauguruje **III Międzynarodowy Konkurs Organowy im. Jana Kucharskiego** (pod patronatem „Kalejdoskopu”). Kucharski był organistą, wirtuozem i pedagogiem popularyzującym muzykę organową w powojennej Polsce. Poprzez swe studia w Paryżu u Marcela Dupré, które odbył w latach 1936-37, przeniósł tradycje francuskiego stylu wykonawstwa na grunt polski. Założył klasę organów w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi. Pierwsza edycja konkursu odbyła się w 2008 r. – w 100. rocznicę urodzin profesora.

W konkursie weźmie udział 32 młodych organistów, w tym 19 z Polski i 13 z zagranicy. Przesłuchania odbywać się będą w dniach 3-4 III w siedzibie organizatora, Akademii Muzycznej w Łodzi (ul. Gdańska 32) – I etap oraz 6 III w kościele ewangelicko-augsburskim pw. św. Mateusza (ul. Piotrkowska 283) – II etap. Na przesłuchania i koncerty wstęp wolny. *

O!PLA po Polsce

II Ogólnopolski Festiwal Polskiej Animacji O!PLA 2014 rozpocznie się 21 III w Muzeum Kinematografii (pl. Zwycięstwa 1). Dzień później fe-

Kultowe granie

Kult Unplugged to koncert zaplanowany na 22 III na godz. 19 w Klubie Wytwórnia (ul. Łąkowa 29). Pierwszy z serii akustycznych koncertów Kultu został zarejestrowany w 2010 r. w warszawskim Ochoteczce, przy współpracy z MTV Polska, a nagrania z tego wydarzenia zostały wydane na wielu nośnikach, w tym na płytach winylowych. Wydawnictwo, zawierające nowe wersje utworów z różnych okresów działalności grupy, zyskało status „diamentowej płyty”. *

Muzyka z puszczy

Autentyczna, nieprzetworzona muzyka ludowa – taki folklor propaguje Adam Strug, śpiewak, kompozytor, poeta i etnograf. Filharmonia Łódzka (ul. Narutowicza 20/22) zaprasza 11 III o godz. 19 na koncert pt. „**Kurpie w Łodzi**”. Zostanie zaprezentowana muzyka rdzennych mieszkańców mazowieckich puszczy: Zielonej i Białej. Kurpie wytworzyli tam odrębną kulturę, która była niemal nieznaną aż do XX w. Spopularyzowali ją w swoich artystycznych opracowaniach m.in. Karol Szymanowski i Roman Maciejewski. Z ich kompozycjami w programie koncertu sąsiadują autentyczne anonimowe utwory instrumentalne. Na zaproszenie Adama Struga wystąpią ludowe śpiewaczki kurpiowskie z parafii Czarnia oraz kapela Mateusza Kowalskiego >

z Ostrołęki. Zaśpiewa też Chór Filharmonii Łódzkiej. Koncert jest częścią filharmonicznego cyklu muzyki kameralnej „Kolor non stop”. *

Muzyczny portret

Polskie Radio wydało w serii „Portrety” płytę „**Stanisław Klejnas, skrzypek**”. Jej promocja (pod patronatem portalu Kalejdoskop Kulturalny Reymont) odbędzie się **13 III** o godz. 12 w Szkole Muzycznej I i II stopnia im. Chopina w Skierniewicach (ul. Prymasowska 6). Stanisław Klejnas (1905-1988) z Raducza pod Skierniewicami był jednym z najwybitniejszych polskich muzyków ludowych.

W spotkaniu wezmą udział etnomuzykolodzy: prof. Piotr Dahlig z Uniwersytetu Warszawskiego oraz Anna Szotkowska i Jakub Borysiak z Polskiego Radia. Wystąpi kapela Gęsty Kozuch Kurzu z Łodzi (w składzie: Maria Stępień – skrzypce, Marcin Lorenc – basy, Przemysław Bogusławski – bębenek), która wykona oberki i polki z repertuaru Stanisława Klejnasa. Spotkanie poprowadzi Hanna Kuberska-Skrzydło. Współorganizatorem jest Łódzki Dom Kultury. Wstęp wolny. *

„Nic wielkiego” w Szpulce

Zrealizowany w Łodzi film fabularny „Nic wielkiego” w reżyserii Jana Gazickiego pokazywany jest od **28 II** w kinie Szpulka w Łódzkim Domu Kultury. To historia rodzeństwa Zosi i Stasia, ich wspólnego dzieciństwa, relacji z rodzicami oraz wejścia w dorosłość.

Produkcja sfinansowana została przez firmę Planet Belbax, a zrealizowana przez młodą łódzką ekipę filmową i aktorów teatrów: Jaracza, Nowego i Szwalni. Przed kamerą pojawili się również licealiści z klasy teatralnej VI LO. Zdjęcia powstawały na ulicach Łodzi, w więzieniu w Łęczycy oraz w Bukowcu i Baryczy.

„Nic wielkiego” nie ma dystrybutora. Jego rozpowszechnianiem zajmuje się producent i reżyser w jednej osobie, a wspiera go Łódzki Dom Kultury. Po premierze w kinie Szpulka film będzie wyświe-



tlany do 13 marca. Zaprezentowany zostanie również na marcowym spotkaniu członków Sieci Kin Cyfrowych Województwa Łódzkiego. Dzięki temu trafić może do kin w regionie.

Jan Gazicki (ur. 1982) jest absolwentem Wydziału Operatorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi. Na co dzień zajmuje się realizowaniem reklam i prowadzi działające w Łodzi Studio Filmowe Planet Belbax. *

Droga przez muzykę

Grupa **Raz Dwa Trzy** wystąpi **29 III** o godz. 20 w Klubie Wytwórnia (ul. Łąkowa 29). Zespół istnieje od 22 lat (od 17 w tym samym składzie) – przeszedł długą drogę przez wiele nurtów i stylistyk. Wystąpią: Adam Nowak – gitara, śpiew, Grzegorz Szwalek – pianino elektroniczne, akordeon, Jacek Olejarz – perkusja, Jarek Treliński – gitara elektryczna i akustyczna, Mirek Kowalik – gitara basowa, kontrabas. *

Kiniarze o kinach

Spotkanie partnerów **Regionalnej Sieci Kin Cyfrowych Województwa Łódzkiego** odbędzie się w dniach **13-14 III** w Skierniewicach (organizator – Łódzki Dom Kultury, współorganizator – Miejski Ośrodek Kultury w Skierniewicach). Zaplanowano prezentacje: „Reklama w kinach oraz projekt wsparcia kin tradycyjnych”, „Aktualne tendencje w technologii projekcji cyfrowej”, projekcję filmu „Kamienie na szaniec” Roberta Glińskiego, a także pokaz filmu „Nic wielkiego” i spotkanie z autorem Janem Gazickim. W sieci zrzeszonych jest 19 kin z województwa. *

Aleksandrów teatralny

Pod hasłem „**Poczuj teatr**” odbywać się będą rozmaite wydarzenia związane z obchodami Międzynarodowego Dnia Teatru organizowane w marcu przez Partnerstwo na rzecz Aleksandrowa Łódzkiego. W programie: wystawa plakatów teatralnych (1-31 III) oraz wykład na temat technik i reguł ich tworzenia, wyprawa za kulisy Teatru Wielkiego w Łodzi (11 III), koncert piosenek z tekstami Juliana Tuwima w wykonaniu uczniów wydziału wokalnego PSM II stopnia im. Moniuszki w Łodzi (21 III). Koncert „Piosenki z teatru” zaprezentują 27 III studenci Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej. Z monodramem „Przypadek Adasia Miauczyńskiego” na podstawie tekstów Marka Koterskiego 28 III wystąpi Włodzimierz Twardowski. Warsztaty teatralne 15 III poprowadzi Małgorzata Flegel, wykładowca Szkoły Filmowej w Łodzi.

www.partnerstwo.aleksandrow-lodzki.pl *

Ratunek dla Boga

Teatr im. Jaracza (ul. Jaracza 27) zaplanował na **29 III** premierę spektaklu pt. „**Boże mój**”. W sztuce Anat Gov zmęczony i załamany Bóg poddaje się terapii. Terapeutka ma mało czasu na to, żeby Mu pomóc i uratować świat. Jesteśmy świadkami dziwnego spotkania Boga i człowieka, podczas którego odkrywają na nowo wzajemną bliskość.

Reżyseria – **Jacek Orłowski**. Wystąpią: **Bronisław Wrocławski, Milena Lisiecka, Marcin Łuczak**. *

Czy Łódź się podniesie?

Teatr Nowy na inaugurację akcji „Dotknij teatru 2014” **27 III** zaprezentuje premierę spektaklu pt. „**Klajster**” wg tekstu Tomasza Cymermana. Łódź nazywana bywa „polskim Detroit”. Amerykańskie miasto – niegdyś gigant przemysłowy – upadło. Mieszkańcy zmuszeni byli do poszukiwania alternatywnych sposobów przetrwania. Ich determinacja sprawiła, że miasto się odrodziło. Czy Łódź to powtórzy? Autor przedstawia panoramę

społecznych postaw w dobie kryzysu. Łódzcy bohaterowie balansują na granicy dekadencji, frustracji i nadziei.

Reżyser Wojciech Klemm zaprosił do współpracy dwóch twórców związanych z Łodzią: Tomasza Cymermana (autora tekstu) oraz Igora Stokfiszewskiego (dramaturga).

Reżyseria – **Wojciech Klemm**, dramaturgia – **Igor Stokfiszewski**, scenografia – **Magdalena Gut**, kostiumy – **Julia Kornacka**, choreografia – **Maćko Prusak**, kompozytor – **Dominik Strycharski**. Wystąpią: **Dominika Biernat, Mirosława Olbińska, Kamila Salwerowicz, Joanna Król** (gościnnie), **Mateusz Janicki, Sławomir Sulej, Piotr Trojan, Bartosz Turzyński**. *

Po Mrożkowsku

Podczas XX Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych **16 III** prapremierę będzie miał spektakl Teatru Powszechnego (ul. Legionów 21) pt. „**Uwolnić karpia**”, oparty na tekście Piotra Bulaka – laureata III edycji konkursu „Komediopisanie”, organizowanego przez Polskie Centrum Komedii. „Uwolnić karpia” to sztuka utrzymana w konwencji teatru absurdu, której stylistyka przypomina utwory Sławomira Mrożka.

Reżyseria – **Krystyna Meissner**, scenografia – **Łukasz Błażejewski**, choreografia – **Mikołaj Mikołajczyk**. Wystąpią: **Barbara Połomska, Irmina Babińska, Kinga Zabokrzycka, Katarzyna Grabowska, Bolesław Abart, Damian Kulec, Artur Zawadzki**. *

Jazz na wesoło

Teatr Muzyczny (ul. Północna 47/51) zaprasza **17 III** o godz. 19 na premierę monodramu pt. „**Cztery sety jazzu**”. Spektakl powstał na podstawie książki Andrzeja Idona Wojciechowskiego „To był jazz”. Autor był członkiem legendarnego zespołu Melomani (a także redaktorem naczelnym „Kalejdoskopu”). Monodram opisuje sytuacje z przełomu lat 40. i 50., gdy w powojennej Polsce rodził się jazz. Spektakl >

w dowcipny sposób przedstawia niezbrane epizody z życia m.in. Romana Polańskiego, Krzysztofa Komedy, Wisławy Szymborskiej, Jana Machulskiego czy Kazimierza Kutza.

Reżyseria – **Marek Kasprzyk**. Występuje – **Michał Kruk / Marek Kasprzyk**. Ballada (kompozycja) – **Karolina Kowalczevska-Czekierda**, saksofon i aranżacja – **Michał Kobojelek**. *

Dla maluchów

W Teatrze Pinokio (ul. Kopernika 16) **15 III** odbędzie się premiera spektaklu pt. „Echy i achy, chlipy i chachy”. Widzowie w wieku od 2 do 5 lat w przyjaznej przestrzeni mogą przeżywać swoje pierwsze spotkanie z teatrem. „Echy i achy” to druga część „Pokolorowanek”. Tym razem „naj-naje” poznają świat uczuć: smutku, złości, strachu i radości.

Reżyseria – **Honorata Mierzejewska-Mikosza**, scenografia – **Marika Wojciechowska**, muzyka – **Piotr Nazaruk**. *

Teatr najmłodszych

W Bałuckim Ośrodku Kultury „Lutnia” (ul. Łanowa 14) w dniach **27-28 III** odbędzie się **XXXII Wojewódzki Przegląd Teatrów Dziecięcych „Konfrontacje 2014”**. Przegląd jest adresowany do amatorskich grup działających w szkołach, ośrodkach kultury, klubach czy świetlicach. Udział w nim biorą teatry żywego planu, lalkowe, poezji, publicystycz-

ne, wykorzystujące techniki animacji, kabarety. Szczegóły: www.bok.lodz.pl.

Przeładowi towarzyszy **XXXIV Wojewódzki Konkurs Plastyczno-Literacki „Mój list z widowni”** – prace można przysyłać **do 3 III**, otwarcie wystawy – **28 III**. *

R E K L A M A



Centrum Kultury Młodych, ul. Lokatorska 13

7 III godz. 18
Babskie popołudnie ze sztuką
 Wykład prof. dr hab. Anny Frąckowicz:
 „Źródło radości, cierpienia, prawdy – ciało ludzkie
 w wybranej twórczości kobiet XX i XXI wieku”,
 kiermasz biżuterii i wyrobów artystycznych, pokaz mody,
 wernisaż wystawy Marty Horodniczy.

15 III godz. 18
„Moja Piaf”, reż. Mieczysław Gajos
 Spektakl teatralno-muzyczny inspirowany
 życiem i twórczością Edith Piaf.

Międzynarodowy Dzień Teatru
28-29 III
**„W poszukiwaniu kobiety – próba współczesnego
 odczytywania archetypów kobiecości w baśniach,
 bajkach i legendach”**
 Warsztat dla kobiet prowadzony przez Dorotę Bielską.
 Zapisy: 42 684 24 02

30 III godz. 19.30
„KRÓLOWA”, reż. Dorota Bielska
Na wszystkie imprezy wstęp wolny

TVP
ŁÓDŹ

MAGAZYN KULTURALNY

w sobotę 1, 15, 29 marca o godz. 20

ŁÓDZKIE WIADOMOŚCI DNIA

WYDANIE GŁÓWNE - godz. 18.30

TVP
ŁÓDŹ

Z M I E N I A M Y S I Ę D L A C I E B I E

Piękny wiek wielbiciela piękna

Leszek Różga, znakomity łódzki grafik i malarz, 18 marca obchodzi 90. urodziny. Z tej okazji Miejska Galeria Sztuki przygotowuje wystawę jego grafik w Galerii Re:Medium (ul. Piotrkowska 113), która będzie czynna **od 7 do 29 III**. Spotkanie z artystą – **18 III** o godz. 18.

O artyście czytaj na str. 36. *

Pop-artystka

Muzeum Sztuki ms² (ul. Ogrodowa 19) jako pierwsze w Polsce zaprezentuje twórczość **Pauline Boty**. Otwarcie wystawy **14 III**. Boty była jedyną malarzką współtworzącą brytyjski pop-art w latach 60. XX w. Ekspozycja z jednej strony zaprezentuje tę sztukę w szerszym kontekście pop-artu, a z drugiej pokaże ją w nowym świetle – dziś dostrzegane są tu inne motywy niż te, które widziano w czasach, gdy twórczość ta powstawała. Partnerem projektu jest Centrum Sztuki w Wolverhampton. *

Mowa kibola

W Galerii Manhattan (ul. Piotrkowska 118) **14 III** o godz. 19 zostanie otwarta wystawa prac **Doroty Nieznalskiej** pt. „Mowa nienawiści”. Artystka w tym projekcie przygląda się subkulturze kibolskiej. Zastanawia się nad społecznymi mechanizmami powstawania warunków, w których mowa nienawiści jest tworzona i może się rozprzestrzeniać.

Twórczość Doroty Nieznalskiej jest zaliczana do nurtu sztuki krytycznej. Koncentruje się na problemach społecznego uwarunkowania i funkcjonowania człowieka i jego cielesności w polskiej, katolickiej rzeczywistości. *

Marynarka na sztandarze

„Orszak” to tytuł zaplanowanej na **7 III** akcji artystycznej **Doroty Świdzińskiej**. Autorka działa na rzecz przywracania szacunku dla starości. Tytułowy orszak będzie wzorowany na tradycyjnych procesjach kościelnych – zacznie się o godz. 16

w Galerii Wschodniej (ul. Wschodnia 29) i przejdzie ul. Piotrkowską do Galerii Manhattan (ul. Piotrkowska 118). W akcji weźmie udział grupa dziewczynek, które będą niosły sztandary przedstawiające starsze kobiety sfotografowane z marynarkami swoich zmarłych mężów. Na zakończenie przygotowana zostanie instalacja, będzie też pokaz filmu. *



Projekty mistrzów

Teatr Lalek Arlekin i Galeria 87 przy Centrum Informacji Turystycznej (ul. Piotrkowska 87) zapraszają **27 III** o godz. 12 na otwarcie **wystawy poświęconej plastyce teatralnej**. Można będzie zobaczyć m.in. projekty scenograficzne autorstwa Stanisława Fijałkowskiego, Lecha Kunki, Adama Kiliana czy Zenobiusza Strzeleckiego oraz zdjęcia ze spektakli i fragmenty scenografii. Ekspozycję przygotowano w związku z obchodami Międzynarodowego Dnia Teatru. *



Stanisław Fijałkowski „Młynek do kawy”

Tu i teraz

Galeria Nowa (ŁDK, ul. Traugutta 18) zaprasza **20 III** na otwarcie wystawy zbiorowej pt. „**Możesz/ zrobić/wszystko**”. Prace powstały podczas warszta- >

tów intermedialnych „Ja, tu i teraz 2013” zorganizowanych w Michałowicach koło Jeleniej Góry przez Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi we współpracy z pracownią Studium Relacji Przestrzennych z Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Można oglądać dzieła 14 twórców, w tym Agaty Bielskiej oraz Jolanty i Marka Wagnerów.

Lokalni aniołowie

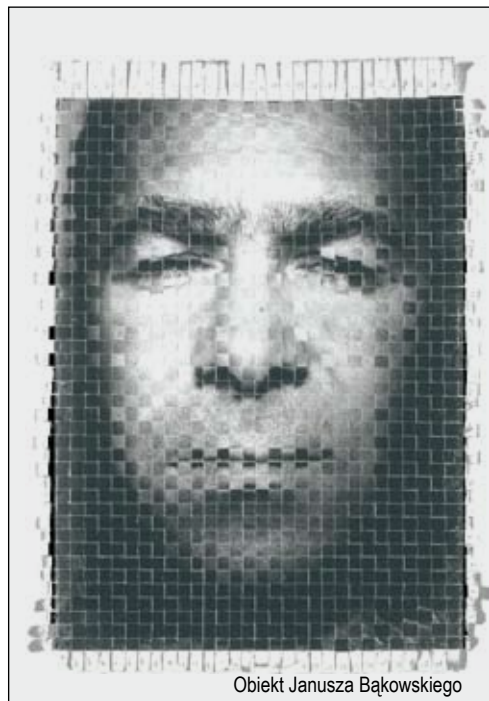
W Muzeum Regionalnym w Brzezinach (ul. Piłsudskiego 49) **do 3 IV** trwa wystawa „Ludowe anioły”. 44 artystów z całego województwa łódzkiego (i spoza niego) pokazuje swoje rzeźby wykonane w drewnie. Najliczniej reprezentowane jest Kutno – z tego miasta pochodzi aż 14 autorów prezentowanych prac.

„Najważniejszym wzorcem były bez wątpienia wizerunki aniołów oglądane w kościołach. Twórcy ludowi, zainspirowani poznanymi wizerunkami, przedstawili aniołów na swój sposób, stosując indy-

widualne środki wyrazu i uwzględniając treści, które uznali za istotne. Niektórzy rzeźbiarze nadali swoim dziełom wyjątkowy, lokalny koloryt – odziali wysłanników nieba w regionalne, wiejskie stroje i zaopatrzyli ich w znane ze swego najbliższego otoczenia instrumenty muzyczne” – pisze w tekście do wystawy Bożenna Magdalena Liberska-Marinow. Współorganizatorem ekspozycji jest Łódzki Dom Kultury. *



Rzeźba Stanisława Szymczyka



Obiekt Janusza Bąkowskiego

Rzeźbo-fotografie

W Galerii Imaginarium Łódzkiego Domu Kultury (ul. Traugutta 18) **1 III** o godz. 18 zostanie otwarta wystawa zbiorowa pt. „Foto-obiekt”. **Do 29 III** można oglądać prace ponad 40 znanych artystów, w tym: Krzysztofa Bednarskiego, Wojciecha Bruszewskiego, Krzysztofa Cichosza, Tomasza Ciecierskiego, grupy Łódź Kaliska, Edwarda Krasińskiego, Natali LL, Józefa Robakowskiego, Zofii Rydet czy Zygmunta Rytki.

Najstarsze obiekty przestrzenne z użyciem fotografii pokazywane na ekspozycji pochodzą z lat 60. XX wieku, kiedy to polski foto-obiekt się rodził, najmłodsze to współczesne realizacje. Foto-obiekt dzięki poszerzeniu płaskiej iluzji przestrzennej o przestrzeń realną, wykracza poza tradycyjną koncepcję medium fotograficznego. Najbliższy rzeźbie obiekt fotograficzny może wywodzić się również z tradycji innych dziedzin sztuki: malarstwa, scenografii, filmu i samej fotografii. Stąd jego intermedialność i wielospektowość. *

„**Tylko kochankowie przeżyją**”, horror, USA, reż. Jim Jarmusch, obsada: Tom Hiddleston, Tilda Swinton, John Hurt, Mia Wasikowska. *Adam, unikający rozgłosu i słonecznego światła undergroundowy muzyk z Detroit, postanawia wrócić po długiej rozłące do swojej ukochanej Ewy.*

„**Kamienie na szaniec**”, dramat wojenny, Polska, reż. Robert Gliński, obsada: Tomasz Ziętek, Marcel Sabat, Kamil Szeptycki, Danuta Stenka, Artur Żmijewski. *Na podstawie powieści Aleksandra Kamińskiego. Przyjaciele Alek, Zośka i Rudy, harcerze, maturzyści warszawskiego liceum, wkraczają w dorosłość w dramatycznych czasach.*

„**Zabić bobra**”, thriller, Polska, reż. Jan Jakub Kolski, obsada: Eryk Lubos, Agnieszka Pawełkiewicz. *Eryk powraca do domu swojego dzieciństwa na wsi. Jest byłym oficerem, uczestnikiem tajnych misji. W samotności przygotowuje kolejną akcję.*

„**Witaj w klubie**”, dramat, USA, reż. Jean-Marc Vallee, obsada: Matthew McConaughey, Jared Leto, Jennifer Garner. *Ron Woodroof, elektryk, dowiadyuje*

się, że ma AIDS i zostało mu 30 dni życia. Zaczyna testować na swoim organizmie nie dopuszczone do użytku lekarstwa i rozkręca biznes.

„**Pozycja dziecka**”, dramat, Rumunia, reż. Calin Peter Netzer, obsada: Luminita Gheorghiu, Bogdan Dumitrache, Natasa Raab. *Pewnego zimowego wieczora Barbu, jadąc z nadmierną prędkością, zabija na drodze chłopca. Matka Barbu i jej siostra natychmiast zjawiają się na miejscu i przejmują kontrolę nad sytuacją...*

„**Noe: Wybrany przez Boga**”, fantasy, USA, reż. Darren Aronofsky, obsada: Russell Crowe, Jennifer Connelly, Emma Watson, Anthony Hopkins. *Reżyserska wizja biblijnej historii. Noe to ostatni dobry człowiek na ziemi. Każdej nocy nawiedza go sen o niekończącej się powodzi. Stopniowo zdaje sobie sprawę, że to wiadomość wysyłana mu przez Stwórcę.*

„**Grand Budapest Hotel**”, dramat, USA, reż. Wes Anderson, obsada: Owen Wilson, Saoirse Ronan, Jude Law, Edward Norton, Ralph Fiennes, Adrien

Brody. Ekscentryczny portier ze słynnego europejskiego hotelu uwikłany zostaje w aferę wokół kradzieży bezcennego obrazu i walkę o przejęcie rodzinnej fortuny.

„**Obietnica**”, dramat, Polska, reż. Anna Kazejak, obsada: Eliza Rycembel, Mateusz Więclawek, Nikodem Rozbicki, Magdalena Popławska. *Lila i Janek chodzą do liceum. Dziewczyna zrywa, oskarżając chłopaka o zdradę. Jeśli Janek spełni obietnicę, która udobrucha Lilę, nic już nie będzie takie jak przedtem...*



„Witaj w klubie”

Armatka

kultury wypaliła!

Piotr Grobliński

7 lutego wręczyliśmy po raz pierwszy naszą nagrodę za najbardziej wystrzałowe wydarzenie kulturalne roku. Armatkę Kultury 2013 odebrał rektor Akademii Muzycznej, prof. Cezary Sanecki, którego nie zdeprymował nawet zapalony tuż przed wręczeniem statuetki lont. Teraz Jego Magnificencji pozostaje wybór miejsca dla naszej armatki – jakiejś gablotki lub półeczki w gabinecie. W epoce płaskich ekranów LCD miejsce na telewizorze raczej odpada.

Akademia Muzyczna została uhonorowana za zorganizowanie w nowej siedzibie przy ulicy Żubardzkiej AŻ Festiwalu. W plebiscycie wygrała z jedenastoma innymi nominacjami, które również były prezentowane podczas gali. Przedstawiciele nominowanych pojawiali się na scenie, dostawali dyplom i butelkę polskiego cydru od sponsora imprezy, po czym opowiadali o swoich przedsięwzięciach. Zabawne pogawędki z prowadzącym wywoływały armatkowe salwy śmiechu zgromadzonej publiczności. Motyw z przywołanego na wstępie przedszkolnego wierszyka *Co to za zagadka: dwie kulki i armatka?* prowokował do nieco rubasznych żartów, ale granica nie

został chyba przekroczona (armatkowy saper myli się tylko raz).

Żarty żartami, ale, mówiąc poważnie – wszyscy nominowani wyglądali na autentycznie wzruszonych. W przypadku aktorów Sceny Arterion mogło to być profesjonalnie zagrane, ale reszta... Łukasz Urbaniak z wydawnictwa Officyna (wydawca dzieł zebranych Fryderyka Nietzsche-go) podkreślił, że filozofii nikt nie chce już nawet w szkołach, więc raczej trudno liczyć w tej dziedzinie na nagrody, a tu proszę. Wyraźnie zadowolony był też dyrektor Festiwalu Designu Michał Pierni-



kowski, który niejedno branżowe wyróżnienie już odbierał. Ale zawsze to miło zostać chociaż kandydatem na proroka we własnym mieście. Z kolei dyrektor Centralnego Muzeum Włókiennictwa Marcin Oko zachwycił się zdjęciami swojej instytucji prezentowanymi na dużym ekranie nad sceną. Przemawiała też pani prezydent Agnieszka No-

wak, która jako nasza czytelniczka brała udział w głosowaniu.

Uroczystość była bardzo miła, choć może odrobinę za długa. By nie popełnić drugi raz tego samego błędu, kończę ten opis bojowym okrzykiem: *Ognia!* i zapraszam do obejrzenia fotorelacji autorstwa Katarzyny Grzelakowskiej. *



Prof. Cezary Sanecki odbiera nagrodę



Przedstawiciele Sceny Arterion



Goście z pierwszego rzędu



Michał Piernikowski przyjmuje gratulacje prowadzącego



Przy mikrofonie – Marcin Oko



Koncert grupy Face to Face



Zofia Rydet, z cyklu „Przemiany”, 1957-80. Wystawa „Foto-objekty” w Galerii Imaginarium (ul. Traugutta 18). Otwarcie 1 III o godz. 18.

Przedmiot podażania



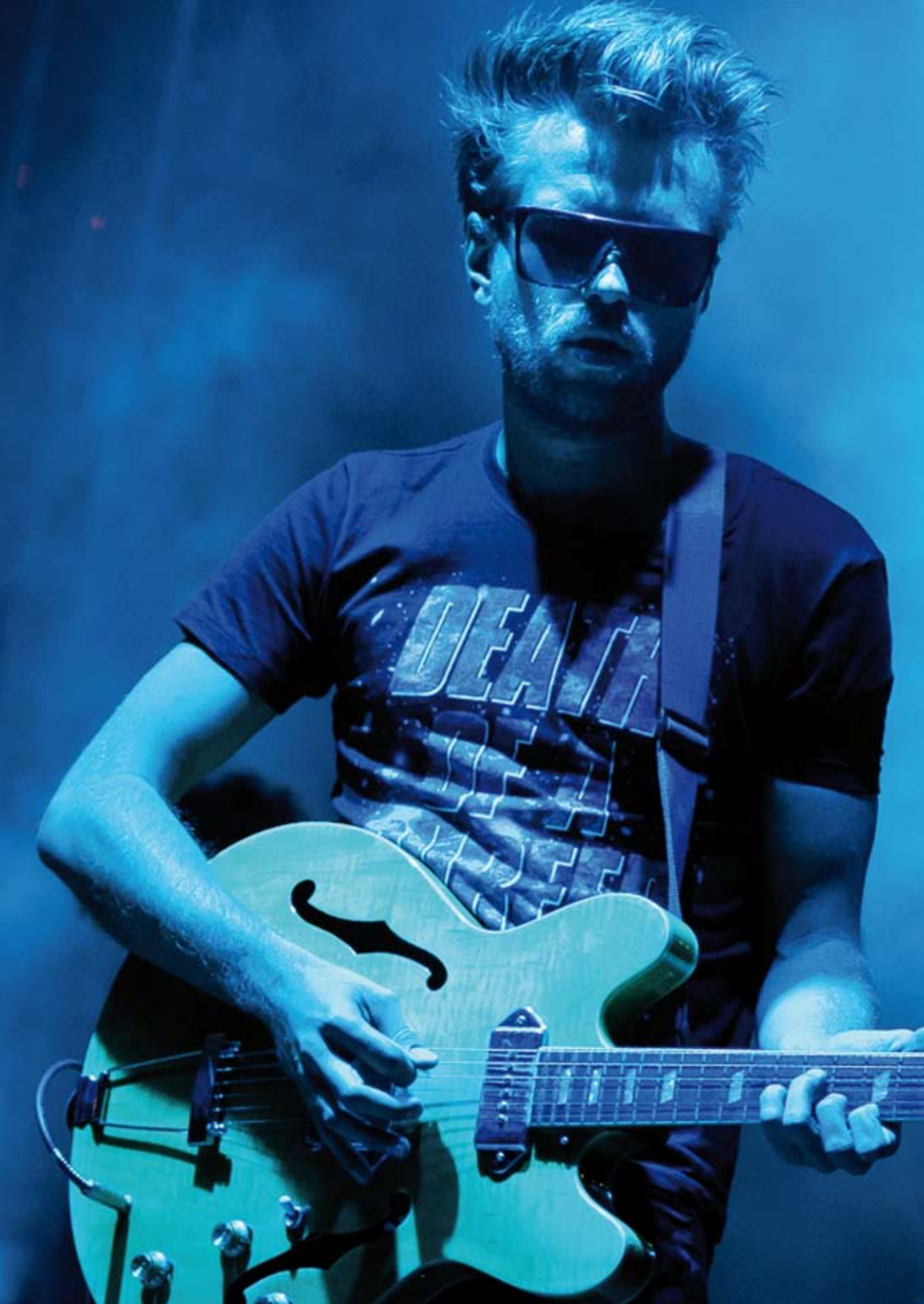
Andrzej Poniedziałki

Bo marcowo. Przedmajowo. Przedradośnie.
Przedszczęśliwie. Przedmiłośnie.

*Tylko tak
Tylko – nie byle jak
Na nie – wprost
Nie, przez prosty,
jak to on – marzeń most
Ale w mglisty
nie naocznie oczywisty
sposób
można
też i bez patosu
otóż
popróbować
i wyrazić
wyraziście:*

*Szczęście, Miłość – ich oblicza
Otóż tylko
Za pomocą udawanych przejęzyczań
Wtedy tylko
Tylko wtedy
ich oblicze się odslania
jeśli rzec:
Szczęście, Miłość – to
„Mroczny przedmiot PODAŻANIA”
A nabiera filozofnych niemal cech
I pobrzmiewa wręcz przesłaniem
Tak, niedbale gdzieś rzucone:
„Tramwaj zwany PODAŻANIEM”*

*PS.
Pożądanie, Podążanie
starzy, młodzi
jedni wiedzą, że to jakby miało być
drudzy wiedzą – jak to trzeba się nachodzić*



Obywatel świata z L.Stadt

– Dwadzieścia lat temu udało mi się zagrać dla Boba Dylana w jego garderobie podczas krakowskiego koncertu. Gdy skończyłem, powiedział: „Good job”. Wziąłem to sobie do serca i tak w tym trwam – mówi ŁUKASZ LACH, lider łódzkiego zespołu L.Stadt.

Bogdan Sobieszek: – Właśnie wyszliście ze studia – powstaje nowa płyta?

Łukasz Lach: – Przez osiem dni nagrywaliśmy partie instrumentów akustycznych do trzynastu piosenek. Jeszcze dużo pracy przed nami, dlatego trudno powiedzieć, kiedy wyjdzie płyta. Jestem jednak bardzo szczęśliwy, bo kolejny nasz autorski projekt nabiera realnego kształtu.

Wasz poprzedni album „You Gotta Move”, który ukazał się w 2013 roku, zawiera utwory kompozytorów amerykańskich. Ta muzyka jest mało znana w Polsce.

– Nagraliśmy siedem oryginalnych teksańskich piosenek. Townes Van Zandt, Lee Hazlewood, Jim Sullivan to są duże nazwiska w Stanach i jeśli mogliśmy komuś przybliżyć twórczość tych artystów, to dobrze się stało. To są przede wszystkim piękne piosenki, które zawsze chciałem zaśpiewać i wyłącznie tym kierowałem się, wybierając materiał na

płyte. Później okazało się, że i teksty układają się w całość – opowieść o outsiderach, o ludziach samotnych, odrzuconych, poszukujących sensu.

Nazwa zespołu wskazuje, że utożsamiacie się z Łodzią i jej historią, ale dziś wydaje się, że Teksas stał się waszym drugim domem.

– Pierwszy raz wyruszyliśmy za Ocean w 2010 roku, żeby wystąpić na festiwalu South by Southwest w Austin w Teksasie. Dla nas wszystkich była to pierwsza taka podróż – jakbyśmy znaleźli się w scenografii podświadomego filmu, który zakodowała nam popkultura. Zetknęliśmy się tam z niesamowicie utalentowanymi ludźmi i naturalną dla nich muzyką, którą w Austin spotyka się na każdym kroku. Prawdziwe amerykańskie brzmienie niemal czuło się w powietrzu. To rzeczywiście nasz drugi dom – zawsze możemy tam wrócić. Mamy się gdzie zatrzymać, mamy przyjaciół.



Foto: KATARZYNA GRZELAKOWSKA

Stany to ziemia obiecana muzyków z całego świata. Udało się wam tam zaistnieć?

– Festiwal South by Southwest pomyślany był kiedyś jako konferencja dla ludzi z branży muzycznej – agentów, producentów, którzy poszukiwali „świeżej krwi”. Dlatego dla nowych kapel była to szansa na zaistnienie na rynku. Dziś festiwal zamienił się w molocha. Zagrać tu mogą praktycznie wszyscy, którzy się zgłoszą – przez cztery dni przewijają się dwa tysiące kapel – ale branża już nie przychodzi na koncerty. Trudno więc powiedzieć, że zostaliśmy zauważeni przez producentów, ale publiczności teksańskiej nasze granie bardzo odpowiadało. Zawsze nam się wydawało, że L.Stadt brzmi po amerykańsku, a w Austin usłyszeliśmy, że jesteśmy strasznie europejscy.

Jak ten pobyt za Oceanem was zmienił?

– Poczuliśmy się obywatelami świata i zobaczyliśmy, że nasza muzyka jest uniwersalna, że trafia do wrażliwości ludzi stamtąd i wzbudza ich emocje. Ale na ten nasz muzyczny kosmopolityzm zapracowaliśmy już wcześniej. Zagraliśmy sporo koncertów w Rosji, na Bałkanach, w Niemczech i we Francji.

Jednak pierwszy wyjazd do Stanów był wyjątkowy. Od tej pory zawsze wracamy stamtąd naładowani energią, by działać dalej.

Jaka jest pozycja L.Stadt na polskiej scenie muzycznej?

– Jesteśmy coraz lepiej kojarzeni. Nasze płyty mają doskonałe recenzje. Niestety nie przekłada się to na sprzedaż. To ciągła praca, walka, by wyrobić sobie markę, by być rozpoznawalnym. Naszym głównym celem, jak chyba każdego zespołu, zawsze było to, by dotrzeć do jak największej liczby ludzi. Ci, którzy mieli okazję usłyszeć L.Stadt, w większości zostają z nami. Przyjemnie jest widzieć, jak przybywa fanów. Gdy przyjeżdżamy kolejny raz do tego samego miasta, zapełniamy coraz większe sale. Teraz gramy mniej koncertów, bo skupiliśmy się na przygotowaniu nowej płyty. Przecież sporo czasu upłynęło od poprzedniego naszego materiału autorskiego – „El.P” ukazał się w grudniu 2010 roku.

Co zatem jest waszym znakiem rozpoznawczym?

– Nasze płyty są eklektyczne, a przekaz na nich – wysublimowany, za to na koncertach przemawia-

my pierwotną, dziką energią. Lubimy grać ze sobą i myślę, że publiczność to czuje. Między zespołem a widownią dochodzi do energetycznej wymiany. Zdarzają się występy, które są wręcz magiczne i dla nas, i dla słuchaczy.

Nietypowy skład daje wam dodatkowe możliwości?

– Dwa zestawy perkusyjne, które podczas koncertów bardzo często dublują podstawowy rytm, powodują, że muzykę czuje się w trzewiach. Ale wracając do naszej nowej płyty, już wiem, że ona będzie inna od tego, co do tej pory zrobiliśmy. Po L.Stadt można się spodziewać wszystkiego. I to jest znak rozpoznawczy naszego zespołu.

Na pierwszej płycie wydanej w 2008 roku dużo było dźwiękowego brudu, przesterowany chrypiący wokal, to zaskakiwało...

– Wtedy traktowałem głos jako kolejny instrument, nie chciałem, żeby się wybijał. Potem moje podejście się zmieniło. Nagrywaliśmy tę pierwszą płytę w warunkach garażowych i widzieliśmy, że nie możemy pozwolić sobie na piękną, wysmakowaną produkcję, nie mieliśmy pieniędzy i odpowiedniego sprzętu. Jednak wracam do niej z dużym sentymentem. Znalazło się tam trzynaście naprawdę różnych utworów. Na „El.P” materiał jest już spójny. Nowa płyta będzie jeszcze inna – dużo bardziej piosenkowa.

Od naszej ostatniej rozmowy minęło przynajmniej dwadzieścia lat, kiedy jako dziennikarz „Dziennika Łódzkiego” pisałem o uzdolnionym muzycznie nastolatku. Przez ten czas wiele się zmieniło. Czy wszystko? Co stało się z tamtymi marzeniami, pasją?

– Robienie muzyki, bycie na scenie, granie niezmiennie sprawiają mi przyjemność. Cieszę się, że gdybym spotkał teraz tego dwunastoletniego chłopca, mógłbym mu powiedzieć, że dwadzieścia lat później robię to samo i czerpię z tego taką samą frajdę. Mam w sobie cierpliwość i jestem długodystansowcem, dlatego nie dręczą mnie rozczarowania ani frustracje. Na tym rynku jest różnie, ale muzyka stała się moim zawodem, mam wspaniałą

zespół, jest między nami fajna energia. I cały czas przychodzą nam do głowy kolejne pomysły. Pracujemy nad płytą, a już rodzi się zarys następnej.

Dla mnie w tej sytuacji sprzed dwudziestu lat absolutnie wyjątkowe było wsparcie, jakie dostawał pan od mamy. To ona przyproceedziła pana do redakcji, jeździła z panem na koncerty w Polsce. Czekwała, żeby po występach mógł się pan spotkać z artystami, którzy pana wtedy fascynowali...

– Rodzice zawsze wspierali mnie i moje dwie siostry. Tata pracował, więc mogła ze mną jeździć tylko mama. Niesamowite było to, że nigdy nie narzucali nam własnej wizji naszego życia. Przypatrywali się temu, co nas interesowało i pomagali w realizowaniu pasji. Zawsze będę im za to wdzięczny.

Jest was trójka – Kasia, Łukasz i Iza, wszyscy utalentowani muzycznie, a rodzice przecież nie są muzykami...

– Ojciec grał na gitarze... Zaczęło się od tego, że starsza siostra w wieku sześciu lat poszła do szkoły muzycznej – w przedszkolu robiono przesłuchania, żeby wytypować uzdolnione dzieci. Wtedy w domu pojawiło się pianino i było dla mnie oczywiste, że ja też pójdę tą drogą. Wydaje mi się, że muzyka była we mnie od zawsze.

Wasze ścieżki biegły jednak osobno.

– Kasia i ja zaczęliśmy w zespole Puzzle, który wygrał festiwal w Jarocinie. Potem ona jako basistka poszła do Formacji Nieżywych Schabuff, a ja do LO 27. Teraz jest matką trójki dzieci, więc jej przygoda z muzyką na razie pozostaje w zawieszaniu. Najmłodsza Iza robi solową karierę, ale przecież gra z muzykami z L.Stadt, więc wszystko pozostaje w rodzinie.

Kto muzycznie wywarł na pana największy wpływ?

– Beatlesi pozostają dla mnie niedoścignionym wzorem. Najbardziej fascynująca była u nich otwartość umysłu i ciągłe poszukiwania, to, że nie chcieli się powtarzać. Sam staram się tego trzymać. Jeśli chodzi o teksty, zawsze podziwiałem Boba Dylana, >



Zespół L.Stadt

FOTO: RAFAŁ MASŁOW

Lou Reeda. Artyści, którzy nigdy nie stali w miejscu, są dla mnie najważniejsi.

I to Dylan pana namaścił jako muzyka...

– Gdy dziś o tym myślę, nie jestem już pewien, czy to rzeczywiście się wydarzyło, czy tylko mi się przyśniło. Dokładnie dwadzieścia lat temu udało mi się zagrać dla Boba Dylana w jego garderobie podczas krakowskiego koncertu. Gdy skończyłem, powiedział: „Good job”. Wziąłem to sobie do serca i tak w tym trwam.

Muzyka jest pańskim sposobem na życie, ale czy da się z niej żyć?

– Utrzymuję się wyłącznie z muzyki, choć nie tylko z L.Stadt. Komponuję do rozmaitych projektów filmowych. Nie prowadzę wystawnego życia, na moje potrzeby wystarcza. I widzę, że sytuacja powoli się poprawia. Wierzę, że jeszcze dużo grania przede mną, więc chyba będzie lepiej.

Na czym polski muzyk dzisiaj zarabia?

– Nie ma reguły. Czasami są to tantiemy, czasami lepiej płatne koncerty. Innym razem uda się sprzedać muzykę do reklamy. W zeszłym roku piosenka L.Stadt trafiła do spotu dużego koncernu. Najgorsze jest to, że te zarobki nie są stałe.

Może łatwiej byłoby zrobić karierę w Stanach?

– Tam jest o wiele trudniej – rynek ogromny, a konkurencja szalona. Zespołowi, który zaczyna, strasznie trudno się przebić. W Polsce najbardziej opiniotwórcza rozgłośnia radiowa, czyli Trójka, jest cały czas otwarta na młode zespoły. Są audycje, do których można wysłać swoją płytę. Można przyjść do radia i wcisnąć redaktorowi do ręki. Jeśli mu się spodoba, zespół ma szansę zaistnieć. W Ameryce tak się nie da. Ale jednocześnie panuje tam powszechna wiara, że jeśli będę ciężko pracował, to mi się uda. Nasz amerykański przyjaciel tak mi to wytłumaczył: najważniejsze, czy się próbuje, a nie ile razy się nie udało. Rozliczają nas z tego, czy rzeczywiście robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. W Polsce niektórym ludziom sprawiają przyjemność porażki innych.

Gdy myśli pan o najbliższej przyszłości za rok, za pięć lat, co daje panu nadzieję, co stanowi ostoję?

– Wiara w moją kreatywność. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których chcę spróbować, pomysłów, których jako zespół nie zrealizowaliśmy. Są takimi kotwicami, które rzucamy w przyszłość i do nich dopływamy. Potem rzucamy następne i następne.

A obawy, lęki?...

– Każdy ma swoje demony, ale nie chcę o nich mówić. Wolę koncentrować się na tym, co pozytywne. *

Reklama może

Piotr Grobliński



Reklama może być przyczyną wielu groźnych chorób, np. nerwicy i szczękościsku, może przeszkadzać w życiu osobistym i pracy zawodowej. W dodatku wkurzenie odbiorców działa przeciw zachwalanym produktom. Dlatego reklama najnowszej generacji polega na rezygnowaniu z reklamy. W Łodzi prekursorem tej strategii marketingowej jest Uniwersytet Łódzki, który na ścianie jednego ze swych budynków umieścił napis: *Tu mogła być reklama. Woleliśmy mural.*

Chodzi o gmach Instytutu Archeologii przy Uniwersyteckiej 3. Południowa ściana byłaby świetnym miejscem na wielkoformatowy baner – reklamujący studia albo przynoszący uczelni dochód za dzierżawę powierzchni. A jednak nie – ktoś wymyślił, że reklam wokół nas jest za dużo i że na ścianie lepiej zrobić coś innego. Mniejsza z tym co – nie jestem akurat miłośnikiem murali. Ale sam pomysł świetny – na pewno jest ładniej, a efekt reklamowy pozostaje. Ja na przykład napiszę o tej ścianie felieton, który przeczyta sporo osób. Niech 10 opowie o tym w pracy, niech choć jedna zacznie studiować na Uniwersytecie Łódzkim...

Nie można jednak spocząć na laurach – trzeba iść dalej słusznie wytyczoną drogą. Na inną ścianę proponuję tabliczkę: *Tu mogła być reklama. Woleliśmy odmalować ścianę i zostawić ją czystą.* Zresztą nie chodzi tylko o ściany. Wyobraźmy sobie, że idziemy do kina, zasiadamy w fotelu, rozpoczyna się blok reklam, a tu nagle... na białym tle napis: *tu mógł być nasz spot reklamowy, ale woleliśmy dać ci trochę wytchnienia przed filmem.* I nazwa firmy, która zapłaciła za chwilę ciszy. Skoro ktoś płaci za niezabi-

anie starych koni albo niewycinanie lasu, mogły też płacić za brak hałasu. Ciszę sponsoruje... Albo w gazecie – na całej stronie wydrukowany wiersz, na dole drobnym drukiem: *Wykupiliśmy tę stronę na reklamę, ale poezja jest dla nas ważniejsza.*

Miło pomarzyć o lepszym świecie, ale przebudzenie jest bolesne – radio włącza się akurat na blok reklamowy. W drodze do przystanku widzę jakąś dziwną parę, która obwiązuje kolejne latarnie taśmą klejącą – przylepiają ogłoszenie o kredytach-chwilówkach. Ogłoszenia to też chwilówki, bo chwilę pozwalają im wisieć na mojej ulicy. Ale za rogiem już trudniej – do siatki przywiązane profesjonalnie wykonane płachty z nadrukami. Uciekam na przystanek. W tramwaju kasuję bilet z reklamowym nadrukiem, siadam i próbuję wyrzeć przez okno. Ale widzę tylko kropki, bo wagon reklamuje wakacje w Grecji. Reklamuje, więc mało co prześwietuje. W pracy próbuję odebrać pocztę, ale do jakiejś sensownej wiadomości muszę się przebijać przez oferty dotyczące zegarków i powiększenia penisa. Co ja bym zrobił z tymi zegarkami? Godzinę mam przecież podaną na dole ekranu – to jedyny fragment, którego nie zasłaniają otwierające się okienka. Często, chcąc je zamknąć, trzeba długo gonić kursorem znikający punkt. I tak przez cały dzień... A tu nagle ta ściana po drodze do domu. *Tu mogła być reklama...*

To mogła być makrela – myślę po zjedzeniu na kolację jakiejś ryby. *Wolelibyśmy mirunę* – kończą moją myśl dzieci. W TV mówią o satelitarnych zdjęciach oceanu. Podobno z kosmosu widoczne są litery tworzone przez ogromne ławice ryb. Przekaz od matki Natury: **Tu też mogła być reklama.** *

Życie za kulisami

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru rozmawiam z Edwardem Kołtkiem, kierownikiem Działu Techniczno-Gospodarczego Teatru Powszechnego. Umówiłem się z nim na dziewiątą (rano), gdyż wtedy miał mieć trochę czasu.

Piotr Grobliński: – Od ilu lat pracuje pan w teatrze?

Edward Kołtek: – To się zaczęło 32 lata temu. Swoją przygodę rozpocząłem w Teatrze Nowym, od pięciu sezonów pracuję w Powszechnym. Zaczynałem w brygadzie sceny, teraz jestem szefem Działu Techniczno-Gospodarczego. Odpowiadam za przygotowanie spektaklu od momentu złożenia projektu przez scenografa, koordynuję działania poszczególnych pracowni i konieczne zakupy. Do dnia premiery sprawuję nadzór nad każdym szczegółem.

Wystarcza na wszystko pieniędzy?

– Czasem musimy kombinować z tego, co już mamy. Szukamy w magazynach rzeczy, które da się jeszcze wykorzystać. Każdy teatr ma magazyn dekoracji, kostiumów, rekwizytów, mebli.

Teatr to miejsce pracy jak każde inne?

– Całe życie pracowałem tylko w teatrze, ale myślałem, że każda praca ma coś w sobie. My musimy mieć tego teatralnego bakcyła, który nie pozwala nam się znudzić tą robotą. Chodzi o pewien czar, o tę słynną magię teatru. To się dzieje od pierwszego spotkania z realizatorami, przez czas ciężkiej pracy całego zespołu, aż po moment, kiedy wszystko ożywa w światłach na scenie. Takie stwarzanie świata. Człowiek siada na widowni i czuje dumę.

Zamiast okłasków rozbrzmiewa głos telefonu. „Odzwonię za chwilę, dobrze?”

Oglądacie premiery?

– Raczej próby generalne. Na premierach widownia pęka w szwach.

Chodzi pan do innych teatrów?

– Chodzę do operetki, oboje z żoną bardzo to lubimy. Pamiętam dobrze „Skrzypka na dachu” i „My Fair Lady”.

Patrzy pan wtedy na dekoracje – jak są zrobione, zamontowane?

– Sam się z siebie śmieję, bo przecież nie po to tam idziemy. Ale łapię się na myślach, że ja może zrobiłbym to inaczej. Siedząc na widowni, nie przestaję być członkiem ekipy technicznej.

Ulubione spektakle w Powszechnym?

– „Szalone nożyczki” – to przede wszystkim, „Kochanowo i okolice” – też bardzo fajny spektakl. *Znowu telefon, tym razem dzwoni scenograf.*

Ileż można z tymi nożyczkami...

– Ja widziałem trzy razy, za każdym razem inne zakończenie. Ale nieraz obserwuję grupy przyjeżdżające na poranki i rozpoznają te same twarze. Ludzie chodzą na to po kilka razy.

W teatrze pracuje się w rytmie premier? Gonitwa, premiera i luz przez tydzień?

– Jest chwila luzu, ale to najwyżej jeden-dwa dni. Ponieważ jest mała ekipa, od razu musimy się zająć kolejnymi przedstawieniami.

Telefon, pan Edward jest wzywany po egzemplarze nowej sztuki dla akustyka i oświetleniowca. Wraca ze zbindowanymi plikami kartek.

Oni to czytają? Tu nie ma dla nich żadnych uwag.

– Sami sobie nanoszą uwagi w trakcie prób. Zapisują, w którym momencie ma wejść światło. Ale przy 800. „Nożyczkach” świecą już na pamięć.

Artyści są kapryśni?

– Bywa, że coś przygotowujemy, a reżyserowi się odwdzi. Jak to w życiu, trzeba zagryźć zęby i robić jeszcze raz. Jest to dla nas denerwujące, ale reżyser ma przecież prawo – on tym żyje 24 godziny na dobę.

Jakieś ciekawe anegdotki zza kulis?

– Taka śmieszna sytuacja mi się przypomina z aktorką, której zaczął szwankować mikroport. Coś w nim trzeszczało i technik rzucił się do niej coś tam poprawiać. Zapomniał, że to już nie próba, tylko przedstawienie i po prostu wszedł na scenę przy otwartej kurtynie.

A jeśli po pięciu przedstawieniach nie ma widowni – jest poczucie porażki?

– Ja to tak odbieram. To nie jest fajne, gdy mecha-

nizm nie funkcjonuje. Nie wiem, dlaczego tak się nieraz dzieje. Może nietrafiony tytuł, może to ta nasza kochana Łódź. Jest to takie miasto, jakie jest, coraz bardziej smutne.

Niedobre dla teatru? Biedne?

– Każde miasto jest dobre dla teatru, ale czasem na przyjemności ludziom już nie starcza.

Telefon – tym razem pomyłka. „Nie, to nie jest kancelaria adwokacka”.

Bilety powinny być tańsze?

– Fajnie by było, gdyby widzowie więcej zarabiali...

Kiedy dla pana zaczyna się spektakl?

– Wczoraj dostałem projekty scenografii do nowej sztuki. To jest akurat miesiąc przed premierą – będzie szybkie tempo. Spotykamy się z szefami pracowni, robimy szybki kosztorys, zaopatrzeniowiec kupuje, co potrzeba: jakieś deski, mebel. I do roboty.

Na kilka desek czy fotel trzeba robić przetargi?

– Zależy od wartości – są limity, powyżej których musi być przetarg. Ale poniżej limitu też nie jest tak łatwo – trzeba wysyłać zapytania ofertowe. Sporo tu tych papierów, jak pan widzi. Biurokracja trochę nas przygniata.

Telefon, głos dzwonka jakby zniecierpliwiony – chyba trzeba kończyć.

Dlaczego warto chodzić do teatru?

– Żeby fajniej nam się żyło, żeby było trochę przyjemniej. Żebyśmy się łatwiej porozumiewali, żeby świat nie był taki szary i okrutny. *



Foto: DARIUSZ KULESZA

Teatr wychodzi do ludzi

Dariusz Drewnicz

„Halka” na Rudzkiej Górze, Mądzik z „Lustrem”, Shaffer w stajni, Pinokio w bramach to tylko część atrakcji piątej edycji „Dotknij teatru”, ogólnopolskiego projektu przygotowanego z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru.

Po raz pierwszy akcja „Dotknij teatru” odbyła się w Łodzi w 2010 r. Inicjatorem była grupa łódzkich artystów i animatorów kultury, a liderem i koordynatorem – Teatr Nowy. O tegorocznej edycji, którą zaplanowano od 27 marca do 6 kwietnia, mówi Anna Ciszowska – kierownik Działu Edukacji i Wydawnictw Teatru Nowego: – *Odwiedzimy widzów, którzy z różnych względów nie mogą przyjść do teatru. Mali pacjenci będą mogli obejrzeć spektakle przygotowane przez Teatr Arlekin – przedstawienia odbędą się w szpitalach i hospicjach. Teatr Chorea zaprezentuje spektakl „muzg” w szpitalu psychiatrycznym. Zaplanowaliśmy dużo imprez dla dzieci. Dla niepełnosprawnych i niewidomych warsztaty zorganizują Teatr Chorea i Muzeum Miasta Łodzi. Wychodzimy z teatrem do publiczności i dlatego Teatr Pinokio ze spektaklami „wjedzie” w bramy. Przedstawienia będą powstawać na podstawie opowieści mieszkańców Łodzi.*

Marcel Szytenchelm w Rudzie Pabianickiej wspólnie z mieszkańcami tego rejonu zaprezentuje swoją wizję „Halki” Stanisława Moniuszki. Będą prezentacje w tramwajach – fundacja ależ Gustawie! pokaże etiudy i impresje teatralne. Teresa Radzikowska, Tomasz Bazan i Muzeum Miasta Łodzi zorganizują warsztaty dla dorosłych.

Nietypowym przedstawieniem, realizowanym w stajni w Skotnikach z udziałem koni będzie „Equus – Kon” Petera Shaffera w reżyserii Barbary Dembińskiej. Interesujące będą z pewnością wydarzenia związane z tematyką łódzką – m.in. spektakl Teatru Nowego „Konsensus 2014” w reżyserii Wojciecha

Klemma oraz premierowe czytanie dramatu „Katarzyna Kobro. Polski sen” w reżyserii Iwony Siekierczyńskiej. Tekst o wybitnej artystce został napisany przez Małgorzatę Sikorską-Miszczyk specjalnie na tegoroczną edycję „Dotknij teatru”. Nowe spektakle pokażą teatry: Tańca Pro, grupa Kijo, Ognia i Papieru, Szwalnia we współpracy z teatrem Kana.



„Dotknij teatru”, 2013

Foto: JANUSZ SZYMAŃSKI

Przyjedzie Leszek Mądzik z przedstawieniem „Lustro”. Spektakl Sceny Plastycznej KUL inspirowany jest prozą Brunona Schulza, a przede wszystkim – opowiadaniem „Samotność”. W przedstawieniu wykorzystano motywy z rysunków Schulza.

Cały program zakłada prezentację ponad stu wydarzeń. – *Chcemy pokazać, że teatr jest płaszczyzną bezpośredniego kontaktu i inspirowane spotkania człowieka z człowiekiem* – mówi Anna Ciszowska. *



Maskarada do kwadratu

Małgorzata Karbowskiak

Z lewej strony sceny siedzi, skompilowana z dwóch postaci, Matka (tytułowej „Iwony, księżniczki Burgunda”, premiera 19 I br. w Teatrze Jaracza). To od narzekań na bezbarwność i gnuśność córki rozpocznie się spektakl, w którym obraz scenicznego świata filtrowany będzie przez mentalność Matki. Wałki na głowie i kapcie nie pozostawiają wątpliwości: to będzie narracja bolesna w opisywaniu świata, widzianego z pozycji kuchennego stołka anno Domini 2014 (o czasie mówią gadzety, muzyka, kostiumy). I historia Iwony, zmuszającej do dotkliwych rachunków sumienia niestandardowością zachowania, wymykaniem się konwenansom, będzie pełna okropieństw. Taki jawi się dwór zgodny z estetyką jej matki np. w ubiorach pary królewskiej, seksualności eksponowanej poprzez odsłonięte „kaloryfery” mężczyzn w kostiumach, zabawy płcią. Tak, Agata Duda-Grac (reżyseria, przestrzeń, kostiumy) tropi podwójne dno w tych wszystkich kodeksach etyczno-moralnych, jedynie słusznym rytuałach mających wskazywać co dobre, a co złe w wyborach społecznych i sposobach na życie. Pokazując, że to, co publiczne, przybiera formę gigantycznego show (muzyka na żywo – Maja Kleszcz, Wojtek Krzak), dowodzi, iż znaleźliśmy się w „sferze zagrożenia”. Wyrafinowana groteska Gombrowicza obfitująca w poetyckie skojarzenia i odniesienia do wielkiej literatury, poszukująca kulturowych archetypów, zamienia się w XXI-

wieczny, przyprawiający gębę, raport o naturze nas samych. Tekst Gombrowicza ujęła inscenizatorka w żelazne ramy swojej własnej estetyki, mówiąc w nadekspresyjny sposób o systemie zhierarchizowania tego świata. Na postać wiodącą, mającą największy wpływ na majestat władzy, wyrasta tu Szambelan, ktoś w rodzaju majordomusa, głównego zarządzającego. To on, niby gwoli rozrywki, ustawia w karne szeregi dwór, uruchamia kamerkę pozwalającą monitorować sypialnię pary królewskiej. Może szantażować kogo chce (Mariusz Jakus, mój kandydat do Złotej Maski). Nieprzypadkiem też finałowe sceny przyjęcia rozegrane zostaną w... dezabilu bohaterów. Bo ten bankiet bez bankietu odsłania degrengoladę, grę pozorów, życie każdego z bohaterów z osobna (ważna rola światła). Tytułowa Iwona jest tu jak wykrywacz kłamstw, ale i medium, które wszyscy traktują instrumentalnie. Polskie piekielko w całej swojej trudnej urodzie. Grają, nadając odrębny, groteskowy rys każdej postaci: Katarzyna Cynke-Filipiak, Milena Lisiecka, Iwona Drózd-Rybińska, Ireneusz Czop, Krzysztof Wach i inni.

Można zapytać oczywiście, czy tych znaków aluzyjnych nie było za dużo, czy dobrze, iż wyrafinowaną ironię tekstu wniesiono na zupełnie inny poziom... Mnie się podobało. *

„Iwona, księżniczka Burgunda”, Teatr im. Jaracza. Najbliższe spektakle: 12 i 13 III.

Kraina czarów

Renata Nolbrzak*

Choć to brzmi nieprawdopodobnie, jest kraina, gdzie mieszka Szalony Kapelusznik, który bywa wójtem, Król – na co dzień sołtys, bezwzględna Królowa, która, gdy jej się znudzi tyrania, uprawia inny (trochę) rodzaj rządów w Fundacji „PRYM” oraz dobra Księżna, która inicjuje twórcze przedsięwzięcia. Ta niezwykła kraina to gmina Parzęczew – blisko 20 jej mieszkańców zagrało ostatnio w spektaklu „Alicja w Krainie Czarów”.

Po wielu miesiącach prób i przygotowań premiera odbyła się w grudniu w Forum Inicjatyw Twórczych w Parzęczewie. Przedstawienie wyreżyserowała Sylwia Maszewska – śpiewaczka operowa, znana łodzianom jako solistka Teatru Wielkiego, świetnie sprawdzająca się także w roli reżysera. Artystka z zaangażowaniem pracowała z amatorami. Jej talent i energia oraz serdeczność przełożyły się nie tylko na efekt sceniczny, ale także na miłą atmosferę, która towarzyszyła aktorom podczas wielogodzinnych, trwających kilka miesięcy prób. Pani reżyser tak mówi o swoich współpracownikach i klimacie tych artystycznych spotkań: – *Cudowni, utalentowani ludzie, którzy z oddaniem wchodzili w tajniki gry aktorskiej i śpiewu. W ten sposób urodził się teatr w Parzęczewie...*

Te narodziny zawdzięczamy głównie Sylwii Maszewskiej, która jest także autorką scenariusza, twórcą scenografii i kostiumów. Forum Inicjatyw Twórczych realizowało już wcześniej widowiska teatralno-muzyczne („Wieczór pod Picadorem”, „Ulica Wielkiej Kolędy”, „Bar Pod Zdechłym Psem”), ale po raz pierwszy w projekcie udział wzięła tak duża grupa mieszkańców gminy. Za osobisty sukces uważam skupienie tylu ludzi wokół projektu. W tym właśnie tkwi siła naszego przedsięwzięcia, w tym również upatruję widoków na przyszłe, równie ambitne inicjatywy.

Tytułową rolę zagrała absolwentka wydziału wokalnno-aktorskiego Akademii Muzycznej w Bydgoszczy (mieszkańka gminy Parzęczew) – Anna Szoszkiewicz. – *Cieszę się, że mogłam pracować pod okiem wybitnej śpiewaczki. Jej cenne uwagi pozwoliły mi doskonalić swój warsztat. Nie ukrywam jednak, że do udziału w spektaklu skusiła mnie główna rola – mówi. – To była wspaniała przygoda artystyczna. Ale i towarzyska – wielogodzinne próby bardzo nas zintegrowały. Zaprzyjaźniliśmy się i naprawdę miło spędziliśmy czas.*

„Alicja w Krainie Czarów” była dotąd kilkakrotnie prezentowana i za każdym razem widownia pękała w szwach. Ludzie przychodzą obejrzeć sztukę, ale także przekonać się, jak radzą sobie jako aktorzy ich znajomi i sąsiedzi. Dla mieszkańców gminy gratką jest obecność na scenie... wójta. Ryszard Nowakowski, który miał, jak mówi reżyserka, dość fantazji i pozytywnego szaleństwa, żeby zagrać Szalonego Kapelusznika, tak komentuje swój udział w projekcie: – *Chętnie odpowiedziałem na zaproszenie do udziału w spektaklu dlatego, że po pierwsze lubię wyzwania, a po drugie to jest inicjatywa, która integruje naszą społeczność.*

Wójt okazał się niezłym aktorem, na każdym spektaklu zbiera gromkie brawa, a jego rola jest w gminie szeroko komentowana. Innym aktorem, który wzbudza aplauz publiczności jest odtwórca roli

Marcowego Zająca – Janusz Chałas, na co dzień grafik w firmie reklamowej. Nie jest to jego pierwszy sukces – od wielu lat współpracuje z Forum Inicjatyw Twórczych, wzbogacając swoim talentem aktorskim i muzycznym liczne projekty. – *Rola Marcowego Zająca w „Alicji w Krainie Czarów” to jedno z większych wyzwań artystycznych, jakie dotąd podjąłem. Cieszę się, że wziąłem udział w tym przedsięwzięciu, zrealizowanym z imponującym rozmachem: profesjonalna reżyseria, poważne zadania aktorskie, duży zespół, wspaniałe kostiumy i scenografia... „Zapachniało” prawdziwym teatrem.*

Powodzenie spektaklu jest zarówno dla organizatorów, jak i artystów dowodem na to, że warto podejmować wyzwania. Znakomitą puentą będzie

w tym kontekście fragment finałowej piosenki „Alicji w Krainie Czarów”:

*Trzeba, trzeba śnić, trzeba żyć ponad stan,
Trzeba marzyć i się nie bać,
choć rozsądek ci czasem szepce
Że się boi, i że nie chce
Ale wyobraźnia bez granic
rozsądek ma za nic
i chce dalej nowych szaleństw...*

*Dyrektor Forum Inicjatyw Twórczych w Parzęczewie

Najbliższy spektakl – 6 IV, godz. 17



Rousseau, Tarzan i Kozyra

Piotr Grobliński

Przemysław Jaszczak przygotował w Teatrze Pinokio spektakl na podstawie „Księgi dżungli” Rudyarda Kiplinga. Warto zobaczyć to ciekawe pod względem plastycznym, momentami dowcipne przedstawienie. Ale warto też wcześniej przeczytać (sobie, dziecku) oryginał brytyjskiego pisarza – w teatrze zobaczymy bowiem wersję złagodzoną i spłaszczoną. Przyciętą do potrzeb dzisiejszego poprawnościowego modelu wychowania.

Historia Mowgliego – chłopca wychowanego w wilczej rodzinie i przyjętego do stada – opowiedziana jest z pozycji krytykujących cywilizację i przeciwstawiających jej mądrość natury. Autorka adaptacji Magda Żarnecka wycina z tekstu wszystko, co mogłoby tej tezie przeczyć. W oryginale wilki (z wyjątkiem przybranych rodziców) chciały chłopca zabić – nie uczyniły tego przekupione na radzie gromady przez panterę (która była kiedyś w niewoli u ludzi i ma sentyment do dziecka). W przedstawieniu Mowgli zostaje przyjęty do stada w demokratycznym głosowaniu. W oryginale niedźwiedź Baloo (kolejna dobra rola Łukasza Bzury) jest dość surowym nauczycielem, który co prawda kocha swojego ucznia, ale i nieraz wymierza mu solidne klapsy. Ale przecież dzisiaj nie wolno bić dzieci, więc Baloo staje się dobrotliwym safandulą, jakimś dobronudszym dziwakiem. W oryginale zwierzęta ratują się z opresji dzięki znajomości zaklęć i pradawnych praw, którym muszą się podporządkować mieszkańcy dżungli. W przedstawieniu wszyscy sobie tam raczej pomagają z dobrego serca. Uogólniając: w oryginale dżungla to okrutna, surowa rzeczy-

wistość (starego wilka młodsze obalają podstępem, gdy nie może już polować), w której tylko dzięki posłuszeństwu wobec prawa da się jakoś przeżyć, w przedstawieniu – dzika natura jest dobra i powinna być wzorem dla człowieka, który wydaje się równie głupi jak najgłupsze zwierzęta, czyli zapatrzona w niego małpy.

Głównym źródłem tych znaczeniowych przemian są wykorzystane w spektaklu piosenki Maliny Prześlugi, nie wiadomo czemu wprowadzone zamiast pieśni napisanych przez Kiplinga. Ich teksty puentują sceny, często odwracając ich sens. Na przykład gdy Mowgli czuje się odrzucony przez obie społeczności jako obcy, aktorzy śpiewają mu: *nieważne, kim się jest i odkryj naturę swą*. Tragiczny konflikt między bezpieczeństwem (także emocjonalnym) życia w gromadzie a indywidualizacją rozwiązuje się na zawołanie, a raczej na zaśpiewanie... A przecież to cywilizacja umożliwia śpiew, podobnie jak funkcjonowanie Teatru Pinokio. W dżungli Przemysław Jaszczak musiałby zabijać, żeby przeżyć.

By zrozumieć, czym jest dzikość, przyjrzyjmy się początkowi spektaklu, gdy grająca sępa Chila Milena Kranik (lepsza jako muzyk niż jako aktorka) próbuje zapanować nad wydobywającymi się z gardła nieartykułowanymi dźwiękami. Na scenie liany i liny, na których z zadziwiającą sprawnością będzie się huśtał dorastający Mowgli-Tarzan (bardzo sprawny fizycznie Łukasz Batko). Wchodzą wilki, niedźwiedź, pantera. Zwierzęcość postaci zaznaczona jest jedynie kostiumem, aktorzy pokazują

twarze i grają mimiką. Za to w drugim akcie ci sami aktorzy są ludźmi skrytymi za wielkimi maskami. To ciekawy zabieg potwierdzający tezę, że cywilizacja nie tylko krępuje ruchy ubraniami, ale i bogatą w ekspresję twarz zmienia w maskę. Podziwiać dobór teatralnych środków czy protestować przeciwko ich znaczeniom?

Żartów w przedstawieniu jest pod dostatkiem. Na przykład gdy grzechotnikotancerka Kaa mówi: *Potrafię śmiać się z siebie, ale krótko. Ha, ha*. Albo gdy wioskowy kapłan próbuje wieszczyć. Zaczyna kwęstię: *Bogowie mówią...* i niespodziewanie wtrąca: *Cicho, nie wszyscy naraz*. Bardzo dowcipna jest też scena manifestacji dorosłych (przez maski wygląda-



Foto: DARIUSZ SENKOWSKI

Malutki Mowgli jest figurką rodem z bożonarodzeniowej szopki – szybko jednak rośnie i zmienia się w młodzieńca, który pobiera nauki życia w dżungli. Opowieści wprowadzające go w świat, podobnie jak przeznaczone dla wieśniaków fantastyczne historie Mowglięgo na temat dżungli prezentowane są w konwencji teatru cieni. Pomysł ciekawy – wykonanie nieco gorsze. Wielkość figurek na ekranie, podobnie jak ostrość wizerunku zmienia się wraz z odległością od źródła światła. Animatorom trudno więc zgrać jedno z drugim i obraz się rozmywa. *O dżungli tak naprawdę nie wiesz nic* – brzmią słowa piosenki. Widzimy tylko cienie na ścianie jaskini. Ale Platon przegrywa w walce skojarzeń z Kozyrą. Mowgli opowiada o piramidzie zwierząt, przewróconej kichnięciem muchy – dla żartu, by ośmieszyć wiedzę wioskowych mędrców na temat dżungli.

ją na starców), którzy protestują przeciw samowoli i spontaniczności dzieci. Na transparentach znaki zakazu – zabrania się jeździć na wrotkach, jeść lodów, mieć zmierzwione włosy. *Dziecko powinno cicho siedzieć, dziecko powinno guzik wiedzieć* – śpiewają. Na koniec postać z megafonem krzyczy do widowni: *Proszę się rozejść*. Szkoda, że to nie koniec sztuki. Ta kontrkulturowa scena byłaby niezłym podsumowaniem. Tyle że twórcy przedstawienia sami wychowują dzieci inaczej. Widziałem na premierze – dzieci twórców, sympatyków teatru, dziennikarzy ubrane jak z obrazka, starannie przyczesane, grzeczne. Możemy się zachwycać anarchicznymi w wymowie, skandynawskimi książkami o dziewczynkach, ale swoje dzieci wychowujemy raczej tradycyjnie. No cóż, rozdźwięk między teorią a praktyką pedagogiki trwa od czasów Rousseau. *

Pupe każdy ma

Małgorzata Karbowiak

W kwestii seksu, w sztuce nie tylko masywej, trudno doprawdy usłyszeć coś nowego. Zwłaszcza po premierze filmowej „Nimfomanki”, komputerowej „Onej” z wibratorem w roli głównej i najnowszych enuncjacjach (coś było o kozie) prof. Krystyny Pawłowicz. Ale dramaturg Walentyn Krasnogorow poszedł o krok dalej. Już tytuł „Zajmijmy się seksem” (premiera sztuki 15 II w Teatrze Nowym) jest sam w sobie spektaklem i niekoniecznie musi być uzupełniony anegdotą, bohaterami, a nawet didaskaliaми. Z pewnością też nikt nie da się nakłonić do manifestacji przeciw dyrektorowi Jaskule, że nawołuje do moralnej zgnilizny. Bo spektakl – poinformujemy o tym przede wszystkim – powstał jako inicjatywa aktorska. I, wbrew pozorom, sceniczne nawoływanie „zajmijmy się seksem”, jest podłożeniem świni tym, którzy bez niego w zwiększonej i bardziej atrakcyjnej dawce żyć nie mogą. Oj, dostało się zatem żonom lub singielkom uprawiającym sztukę kochania jak hazard. I zmuszającym steranych pracą lub tradycją mężów i partnerów do wysiłku erotycznego ponad miarę. A to na biurku, a to w wannie... Okropność! Przyłożono też, a jakże, tym, co traktują seks „jako narzędzie marketingu i wszechobecny element konsumpcji”, co wyjęłam z programu. Albo, co nie daj Boże, jako panaceum na wszelkie dolegliwości nieudanego życia czy zwichrowanej psychiki, co też było do okazania. W spektaklu w Nowym prezentuje się parodystycznie, choć nie bez uciekania się do abstrakcji, pakiet sytuacji – etiud aktorskich, w których, mówiąc eufemistycznie, kobieta jawi się w całym wcieleniu swych przewin jako kochanka, a mężczyzna jako



Foto: JANUSZ SZYMAŃSKI

taki sobie, nie budzący specjalnej pożądlivosti samiec. Oto stereotypy w obiegowym myśleniu na ten temat – przykładna małżonka musi wiedzieć, że należy kochać się w pościeli, a nie na dywanie. I jeszcze – gdyby móc przejrzeć się w sobie jak w lustrze, okaże się, że w każdej z pań jest dwoista natura – bogobojnej obecnej lub przyszłej małżonki i wyuzdanej kochanki. Ale po to ma się zasady moralne... Mężczyznom też się dostało. Albo w obiegowej opinii żyją z „produktów miłości”, nabierając kogo się da, albo się łajdaczą. Spróbowano zresztą, za autorem, podjąć rozmowę o relacji między miłością i seksem, ale jaka była jej pointa, nie powiem. Doniosę jedynie, że raz na scenie pada słowo gender. No i jak tu po tym wykładzie nie grzeszyć... *

„Zajmijmy się seksem”, Teatr Nowy. Reżyseria – Wojciech Bartoszek, kostiumy – Zuzanna Markiewicz, występują: Mirosława Olbińska, Aleksandra Posieleżna, Katarzyna Żuk, Marek Lipski, Sławomir Sulej.

Książki wśród kosmetyków



Michał B. Jagiełło

Przywykłem już do tego, że książki kupuje się w Internecie w postaci e-booków, a czyta za pomocą m.in. palmtopów, cokolwiek to znaczy. Kiedyś książka była papierowa, a czytało się ją za pomocą oczu, czasami nawet po nocach pod kołdrą z latarką. Teraz e-booka można kartkować (?) w telefonie komórkowym. Nie wiem, co powiedziałby o tym Mickiewicz, który marzył, by jego księgi trafiły pod strzechy. Chyba nie spodobałaby mu się informacja, że „Pan Tadeusz” o pojemności niecałych stu kilobajtów trafił do telefonu. Oprócz książek mamy już e-urzędy, e-papierosy, e-bay, e-deklaracje, e-mamę, a nawet e-Skierniewice, co zauważyłem w wyszukiwarce. Za moich czasów na „e” był tylko entuzjazm mas pracujących i E. Gierka. Trudno – postęp. Może to i lepiej, że książki przeistoczyły się w e-coś tam. Przynajmniej nie grozi im atak moli, starzenie się papieru i blednienie (bladnienie? blaknięcie?) farby drukarskiej. Szkoda szeleszczących kartek, ale co tam. Z żalem patrzę, jak rozsypują się książki wydawane tuż po wojnie. Papier żółknie i rozpada się przy dotknięciu jak wafel. W postaci elektronicznej coś takiego książce nie grozi.

Naszło mnie z tymi książkami, bo odkryłem na swojej ulicy rewelacyjny sklepik z kosmetykami. Właściciel ustawił w nim półeczkę. Kto chce, przynosi stare książki i zostawia je na tejże półeczce. Za darmo. Ktoś inny może sobie książkę zabrać – też za darmo. Po kilku dniach stwierdziłem, że półeczka żyje własnym życiem i ma tyłu amatorów, co leżący obok papier toaletowy. Zaczęły pojawiać się na niej prawdziwe rarytasy. Oczywiście w pierwszej

kolejności zaległy tomy klasyków – Mickiewicz, Słowacki, Żeromski, Orzeszkowa, Sienkiewicz. Ludzie kupują te dzieła wyłącznie dlatego, że są to lektury szkolne, a po zaliczeniu tematu pozbywają się ich bez wahania. A tu, w sklepie z kosmetykami, leży sobie wieszcz między papierem toaletowym i kremem odmładzającym, tuż obok „Przepisów BHP” z 1976 roku. No cóż – lepsze to niż porastać kurzem w antykwariacie z karteczką: „Przecena – 1 zł”.

Książek na półeczce jest sporo i to bardzo różnorodnych. Przeważają książki wydawane w okresie mojej wczesnej młodości, czyli z końca lat 50. i początków 60. Zapewne wnuki pozbywają się bibliotek po dziadkach... Ze wzruszeniem odkryłem „Robinsona Crusoe” – mam to samo wydanie, książkę „spolszczył Stanisław Stampfl”. W podstawówce, kiedy to dostałem „Robinsona” na imienniny, wstrząsnęło mną słowo „spolszczył” i nazwisko pana, który tego dokonał. Było równie egzotyczne co książka. Obok na półeczce znalazłem „Wyprawę Kon-Tiki” Thora Heyerdahla. Zabrałem wysłużony egzemplarz (mój przepadł dawno temu) i po pół wieku ze wzruszeniem ponownie popłynąłem tratwą przez Pacyfik... Ostatnio na półeczce pojawiły się „Orinoko” Arkadego Fiedlera i „Wesołe przygody Robin Hooda” Howarda Pyle’a.

Pomysł właściciela drogerii polecam wszystkim handlowcom. Wysilek żaden, a klientów przybywa. Stare książki żyją drugim życiem, przy okazji zawsze ktoś coś kupi. Poza tym powrót do dawnych lektur działa skuteczniej niż krem odmładzający. Naprawdę!

Norma Ilnicka

studentka III roku fotografii PWSFTViT. Jej prace usytuować można na granicy fotografii kreatywnej i dokumentu. Interesuje ją badanie ukrytej strony rzeczywistości pełnej mroku i niepokoju. Więcej zdjęć na blogu www.normma.blogspot.com.





Panny ze Skoszew

w 120. rocznicę urodzin Jarosława Iwaszkiewicza

Andrzej Sznajder

Ze wszystkich ludzi i domów, jakie spotkałem w młodości, najważniejszym stał się dla mnie dom w Byszewach – pisał Jarosław Iwaszkiewicz w „Księżce moich wspomnień”, a w „Dziennikach” dodał później: Dziwny jest mój stosunek do Byszew i do tej całej okolicy. Tutaj poznałem Polskę, tutaj mi się stała droga, ciasna może i inna od Ukrainy, ale bardzo kochana.

Iwaszkiewicz urodził się w Kalniku na dalekiej Ukrainie 20 lutego 1894 roku i z Kijowem zamierzał związać swoją przyszłość. Przypadek zadecydował jednak inaczej. Gdy młody Jarosław był uczniem przedostatniej klasy kijowskiego gimnazjum, kolega szkolny Józef Świerczyński, pochodzący z Byszew pod Łodzią, zaproponował mu wakacyjny wyjazd do rodzinnego majątku, by udzielał korepetycji za niewielką zapłatę.

Po długiej, niemal egzotycznej podróży, dotarli na miejsce. Było lato 1911 roku. Byszewy oczarowały go od pierwszej chwili. Majątek należał od niepamiętnych czasów do zacnego rodu Plichtów. Murowany dwór, z pięknym gankiem wspartym na czterech kolumnach, zbudował Teodor Plichta. Gdy Iwaszkiewicz tu zawitał, dziedzicem był jego wnuk, Józef Plichta, stary kawaler, który jako sędzia gminny urzędował w pobliskich Lipinach. W majątku mieszkała jeszcze jego siostra Helena Świerczyńska z sześcioma synami: Józefem, Zygmuntem, Janem, Tomaszem, Wincentym i najmłodszym Tadeuszem. Iwaszkiewicz miał szkolić Wicka w matematyce i łacinie, a Józka w rosyjskim. Później nauczał też młodszych braci Józefa gry na fortepianie.

W opowiadaniu „Ogrody” pisarz wspomina: Na

ławce siadało się z książką. Tam czytałem całymi dniami, wolnymi jasnymi dniami, w zapachu żywnicy, wśród śpiewu i gwizdania; wilgi miały tutaj swoją kwaterę generalną.

Takie wakacje spędzał Iwaszkiewicz w Byszewach kilka razy. W te beztrudne dni zamęt wprowadziły jednak panny z sąsiedztwa. Stary modrzewiowy dwór z niewielkim folwarkiem w Skoszewach był wtedy własnością Wandy i Feliksa Zdzitowieckich.

W tym domu spędzały zazwyczaj wakacje dwie młode panny Kurkiewiczówny, bratanice młodszej pani Zdzitowieckiej. (...) Zofia i Hela – stały się nierozłącznymi towarzyszkami młodzieży byszewskiej – odnotował pisarz w „Księżce moich wspomnień”.

Niektórzy literaturoznawcy uważają, że w Byszewie powstał wtedy swoisty uczuciowy trójkąt; Zofia – Jarosław – Józef, o czym pośrednio świadczą późniejsze listy Zofii do Iwaszkiewicza. Rodzina Kurkiewiczów mieszkała w Warszawie i zakochany Jarosław spotykał się kilkakrotnie z Zofią, przyjeżdżając do niej wiosną 1912 roku z Kijowa, a w wakacje byli znów wszyscy w komplecie pod Łodzią. Jesienią Jarosław podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Kijowskim. Jednocześnie był słuchaczem konserwatorium muzycznego.

Ostatnie spędzone w Byszewach wakacje, które przerwała wojna, były od samego początku nieco inne. Do Skoszew nie przybyła bowiem panna Zosia, gdyż wyjechała do Berlina na studia w Akademii Handlowej. Gdy rozpoczęła się Wielka Wojna, Józef Świerczyński został oficerem Wojska Polskiego, tak samo jego młodszy brat Wincenty. Za to Tomasz nie miał szczęścia; zmarł w wieku 20 lat zara-

W BYSZEWACH

ziwszy się tyfusem, gdy uciekał z Ukrainy do Polski. Jan Świerczyński służył jako oficer w III Korpusie, gdzie spotkał się z Iwaszkiewiczem, który też wstąpił do wojska.

Byszewski dwór bardzo ucierpiał w czasie niemiecko-rosyjskiej bitwy o Łódź i został splądrowany. W Skoszewach zabytkowy kościół i stary dwór Zdzitowieckich spłonęły. Gdy Jarosław Iwaszkiewicz wrócił pod koniec 1918 roku z Ukrainy i zatrzymał się w Warszawie, Zofia Kurkiewiczówna i Józef Świerczyński byli już zaręczeni. Pobrali się w następnym roku, potem Józef poszedł na wojnę bolszewicką. Małżeństwo ich można uznać za udane, choć nigdy nie mieli dzieci. Siostra Zofii, Helena, też wyszła za mąż i nazywała się teraz Morsztynkiewicz. Była już wtedy znanym polskim architektem-urbanistą. A pan Jarosław? W roku 1922 ożenił się z bogatą Anną Lilpopówną. W roku 1924 urodziła się ich pierwsza córka Maria, zaś cztery lata później przyszła na świat Teresa. Wtedy też Iwaszkiewiczowie zamieszkali w Podkowie Leśnej, ale pisarz odwiedzał też co jakiś czas Byszewy.

Byszewy wydają mi się tak piękną wsią dlatego, że miałem siedemnaście lat, gdy po raz pierwszy je ujrzałem. Dopiero kiedy zawiozłem tam dorastającą córkę i potwierdziła mi ona wszystkie moje zachwyty, pojąłem, że w uroku tej okolicy jest jakieś piękno obiektywne, a nie tylko entuzjastyczna treść mojej młodości – taki wpis pojawia się w „Książce moich wspomnień”.

Po takich kilku wizytach rodzi się pomysł napisania opowieści o tamtych młodzieńczych wakacjach spędzanych nad przepiękną rzeczką Moszczenicą. W kwietniu 1932 roku powstaje w Syrakuzach na Sycylii najpiękniejsze opowiadanie Iwaszkiewicza „Panny z Wilka”. Jest to refleksyjna opowieść o powrocie do czasów młodości, o nadziejach i o przemijaniu, wreszcie o konfrontacji mitu przeszłości z rzeczywistością. W opowiadaniu jest mnóstwo elementów autobiograficznych, a sam autor wyznał w „Dziennikach”, że to dzieło jest utworem „całkowicie byszewskim”, a pannami nazwał wprost Zofię i Helenę Kurkiewiczówny.

W roku 1979 polsko-francuska ekipa nakręciła



Foto: PIOTR SZNAIDER

Dwór w Byszewach

film wyreżyserowany przez Andrzeja Wajdę pod tym samym tytułem, co opowiadanie Iwaszkiewicza. Podczas zdjęć pisarz jeździł z reżyserem do Byszew oglądać dawny dwór Plichtów i pilnował, by ten filmowy miał koniecznie „ganek na czterech kolumnach wsparty”. Film nakręcono ostatecznie w dworku państwa Szlenkierów w Radachówce koło Kolbieli.

Drugiej wojny nie przeżyli dwaj byszewscy kawalerowie – Józef i Wincenty. Obaj jako oficerowie Wojska Polskiego dostali się w 1939 roku do niewoli sowieckiej. Byli w obozie starobielskim, potem zostali zamordowani w Charkowie.

Dwór byszewski popadł po wojnie w zapomnienie. Na skutek zabiegów pisarza w końcu lat 70. rozpoczęto jego renowację. Uratowano też dwuhektarowy park ze starymi dębami, bukami i lipami. Niestety pięć lat temu dwór strawił pożar. Na szczęście ocalały mury i fundamenty. Całość została wyremontowana w 2011 roku.

Jarosław Iwaszkiewicz zmarł 2 marca 1980 roku w Warszawie. Druga panna z Wilka, Helena pracowała po wojnie w Biurze Odbudowy Stolicy. Zmarła trzy lata po odejściu Iwaszkiewicza.

Mieszkańcy Byszew i okolic nie zapomnieli o wielkim pisarzu. W 10. rocznicę jego śmierci na ścianie byszewskiego dworu zawisła pamiątkowa tablica ufundowana przez społeczność gminy Nowosolna.

W niewoli ołówka

Monika Nowakowska

Leszek Rózga, który 18 marca kończy 90 lat, od ponad pół wieku w rysunkach, grafikach i obrazach analizuje otaczającą go rzeczywistość – kiedyś z wielkim zaangażowaniem, dziś z dystansem i autoironią. – *Nic nie planuję, tworzę pod wpływem impulsów* – mówi.

Wielka osobowość i wielki temperament. Erudyta i poliglota. Miłośnik literatury pięknej i dziedzictwa kulturowego starożytnej Grecji. Humanista zadumany nad losem człowieka, ale i dostrzegający powaby ludzkiego ciała, piękno przyrody, urodę rzeczy... Artysta urodził się w Zgierzu, od prawie 40 lat mieszka jednak w Łodzi. Tutaj zetknął się z Karolem Hillerem, który zainteresował się pracami nastoletniego wówczas Leszka (radził mu mniej fantazjować i więcej rysować z natury), tu, odwiedzając Miejskie Muzeum Historii i Sztuki poznał sztukę nowoczesną, w tym obrazy Jankiela Adlera – kontakt z nimi wspomina do dziś jako „doświadczenie niezwykle”. W Łodzi, już jako student PWSSP, zetknął się z kolejnymi wybitnymi nazwiskami: Wegnerem i Strzebińskim. Tego ostatniego wspomina jako nieprzeciętną osobowość, która jednak nie zdążyła wyrzucić na niego znaczącego wpływu. Studia skończył bowiem na Wydziale Grafiki Propagandowej w PWSSP w Katowicach – filii krakowskiej ASP. Po obronie dyplomu wrócił do Łodzi i włączył się w lokalne życie artystyczne.

W latach 50 ub. wieku zaczął realizować cykle obrazów, a następnie grafik, inspirowane architekturą Zgierza i łódzkich Bałut – obnażające powojenną biedę, opustoszenie i bezlitosny upływ czasu; motyw przemijania będzie obecny w całej sztuce Rózgi. Te ekspresyjnie zakreskowane, najczęściej monochromatyczne monotypie i akwaforty o przeładowanych kompozycjach zawierają elementy turpizmu. Tytuły prac Rózgi są poetyckie i wieloznacz-

ne: „Obsesje”, „Przeznaczenie”, „Tęsknoty”, „Samotna dzielnica”... Dzieła od początku dobrze się sprzedają, co pozwala artyście utrzymywać się ze sztuki. Rózga jako 32-latek uważany był za jednego z najwybitniejszych polskich grafików! Ten sukces nie przewrócił mu jednak w głowie, tylko dopingował do intensywnej pracy nad formą i nad treścią.



Leszek Rózga „Przenikanie X albo Lewitacja”, 1970

W latach 60. ta pierwsza uległa pewnemu uspokojeniu, w pracach widać dążenie do syntezy, treściowo zmierzają natomiast w stronę metafory, pojawia się w nich niejednoznaczna symbolika wywiedziona z literatury, historii, religii. W tym samym czasie Różga zaczął podróżować po Europie – co owocowało kolejnymi cyklami graficznymi. Zamiast aparatu fotograficznego artyście towarzyszy ołówek i kartki papieru, za pomocą których „na gorąco” notuje przemyslenia, spostrzeżenia, często

wzbogacane o konotacje literackie – np. Hiszpanię portretował w kontekście powieści Cervantesa, a wybrzeże Morza Egejskiego widział przez pryzmat twórczości Homera. Z równą pasją w suchorytach i akwarelach rysuje też polski pejzaż. Natura jest dla niego pretekstem do snucia „historyjek z morałem”, jak sam określa swoją twórczość, i do zabawy formą, w ostatnich latach doprowadzoną do perfekcji.

Artystę fascynuje ciągłość, cykliczność świata przyrody, ale jego pejzaże nie są realistycznymi widokami natury. Leszek Różga zawsze filtruje bowiem krajobraz przez swoją wiedzę i wyobraźnię, poszukując w naturze uniwersalnej prawdy o człowieku. Dlatego w jego pracach możemy przeglądać się jak w lustrze, odnajdując w nich własne emocje, niepokoje, obsesje – być może dlatego te grafiki są tak chętnie kolekcjonowane i wystawiane.

Najbliższą okazją do spotkania z wciąż intrygującą twórczością profesora będzie jego indywidualna ekspozycja w Galerii Re:Medium przy ul. Piotrkowskiej 113, otwarta kilkanaście dni przed 90. urodzinami artysty, przypadającymi 18 marca.

– Co roku staram się realizować po dwa cykle graficzne, obecnie pracuję nad suchorytami, które pod-



Leszek Różga „Karnawał - ozdrowieńczy taniec”, 2012

rysowuję i podmalowuję farbami wodnymi lub kredkami. Nie wykonuję już grafik technikami trawionymi, czyli akwafort i akwatint – nie pozwala mi na to wzrok i ręce, choć z dumą podkreślam, że codziennie wchodzę w własnych siłach na czwarte piętro pracowni – opowiada jak zawsze eksplodujący energią Leszek Różga. – Nic nie planuję, tworzę pod wpływem impulsów i wspomnień, zwłaszcza z podróży, choć ostatnią odbyłem w 2011 roku do Berlina, a kolejnych nie przewiduję. Tematycznie wciąż penetruję otaczającą mnie rzeczywistość, opowiadam o swoich relacjach ze światem: kulturą, historią, polityką, na przykład w cyklach „Dzieciństwo” i „Fin de siècle” z 2012 roku. Podobno na temat mojego życia i sztuki powstaje doktorat na Uniwersytecie Lubelskim – może zdążyć go przeczytać?

Profesora cieszy każdy kolejny dzień, choć ostatnio szczerze zmartwiła go wiadomość o odejściu Niny Andrycz, wielbicielki jego twórczości. O fascynacji wybitnej aktorki jego pracami dowiedział się od samego Józefa Cyrankiewicza na jednym z wernisaży – ówczesny premier przyszedł na własne oczy zobaczyć, kim i czym zachwycała się jego małżonka.

Archipelag nowoczesności

Aleksandra Talaga-Nowacka

W ms² można oglądać nową wystawę stałą pt. „Atlas nowoczesności. Kolekcja sztuki XX i XXI wieku”. Na trzech piętrach znalazło się około 300 dzieł ze zbiorów Muzeum Sztuki, w tym prace, które do kolekcji trafiły niedawno i takie, które są w niej od lat, ale nigdy nie były pokazywane.

Ekspozycję podzielono na 14 „wysp” dotyczących różnych zagadnień nowoczesności: „muzeum”, „autonomia”, „kapitał”, „maszyna”, „miasto”, „postęp”, „eksperyment”, „propaganda”, „norma”, „tradycja”, „katastrofa”, „ja”, „emancypacja”, „rewolucja”. – *Nowoczesność pojmujemy szeroko: jako epokę, ale także jako sposób myślenia o świecie, którego początki można ulokować w połowie XVIII wieku, związać z oświeceniem, rewolucją francuską, rewolucją przemysłową, rozwojem nowych form społeczeństwa* – mówi Jarosław Suchan, dyrektor muzeum i szef zespołu odpowiedzialnego za przygotowanie ekspozycji. – *Nowoczesność to obszar pełen sprzeczności – jedne wizje są podważane przez inne. Moim zdaniem najważniejsza jest w nim ta epoka, w której, jakby to powiedział Kant, człowiek wyszedł ze stanu niedojrzałości, uświadomił sobie, że przyszłość może być kształtowana przez niego samego. Stawiamy pytanie, czy nowoczesność jest jeszcze naszą rzeczywistością, czy należy już do przeszłości? Nawet jeśli żyjemy w świecie ponowoczesnym, to jest on ukształtowany przez „klocki” stworzone w nowoczesności. Żeby o niej opowiedzieć, odwołaliśmy się do konceptu historyka sztuki Aby Warburga, którego zajmo-*

wał, w jaki sposób doświadczenia rozpoznane przez kulturę antyczną znajdowały kontynuację w sztuce późniejszej, w zmienionym kontekście. Proponujemy powrót do źródeł nowoczesności.

Czternaście terytoriów wydzielono za pomocą architektury wystawy. Z tym, że łatwo wśród tych wysp stracić orientację. A to dlatego, że pozwolono terytoriom się przenikać. Niektórych widzów może to irytować, dla innych samodzielne odgadywanie, do której „wyspy” może przynależeć aktualnie oglądane dzieło, będzie dodatkową atrakcją.

Sama architektura jest bardzo udana (autorzy: zespół BudCud z Krakowa) – „wyspy” to nie tylko określenie merytorycznych przestrzeni, ale i rzeczywiste konstrukcje (na jednych umieszczono dzieła, na innych można spocząć), są też ścianki poustawiane pod różnymi kątami. Układ jest klarowny i przestronny. Dzieła nie są poutykane jedno obok drugiego, ale oddalone od siebie na tyle, że można nabrać oddechu. Dlatego, mimo że do obejrzenia jest kilkaset prac, nie ma wrażenia przeładowania.

Przeważają dzieła dobrze znane bywalcom Muzeum Sztuki. Te, które dopiero „odkryto” w magazynach, mają różną wartość – część z nich pokazywana jest po prostu jako ciekawostka, choćby scenopis Andrzeja Wajdy do niezrealizowanego filmu o Matejce, wstydlive echo „surrealistycznego” okresu w twórczości reżysera (podobnie jako ciekawostkę należałoby potraktować jego olejny, surrealistyczny obraz). Nie do końca rozumiem, po co

wydobyto ładne skądinąd fotograficzne portrety wykonane w dawnych atelierach. Ale za to grafiki Stanisława Notarjusza, łódzkiego Żyda zamordowanego przez Niemców – perełki. Dużo jest świetnych kolaży i fotokolaży (m.in. Kazimierza Podsadeckiego, Janusza Marii Brzeskiego, Teresy Rudowicz) – co dla mnie jest wielką zaletą.

Uderzył mnie za to brak prac Antoniego Starczewskiego – jednego z najważniejszych łódzkich artystów, do tego silnie związanego z muzeum. Nie ma dzieł Henryka Stażewskiego. Można by też pokazać kilka łódzkich prac ze słynnej „polskiej szkoły plakatu” – choćby na wyspie „tradycja” (w końcu w łódzkim odłamie szkoły przeważały odwołania do konstruktywizmu). Poza tym dawno nie widziałam słynnego „wieloryba” Krzysztofa Bednarskiego – i jakoś mi tęskno. Dobrze, że silnie reprezentowany jest Zbigniew Libera, ale i Karol Hiller. Jest – jak trzeba – Joseph Beuys (gdy jego prace pokazywane są tak jak tutaj – selektywnie, a nie jako zbiór, ich przekaz łatwiej zrozumieć), jest Aleksander Rodcenko, Krzysztof Wodiczko, Alina Szapocznikow, Tadeusz Kantor, Andrzej Wróblewski, Witkacy, Cezary Bodzianowski, Leon Chwistek, Ewa Partum, Edward Krasiński, Zofia Rydet, Artur Żmijewski, są Themersonowie i eksperymentalne produkcje Warsztatu Formy Filmowej (w tym „Kwadrat” Zbigniewa Rybczyńskiego: zabawa w piksele w czasie, gdy o pikselach jeszcze nie słyszano). Jest nawet skromnie reprezentowany Lech Kunka. I Jerzy Krawczyk.

Trochę mnie martwi brak ogólnie dostępnego katalogu wszystkich prac ze zbiorów Muzeum Sztuki – nie znając całości, trudno ocenić, czy wybrano



Kazimierz Podsadecki „Miasto-młyn życia”, fotokolaż, 1929

właściwie. Na przykład – czy pokazywany obraz Jerzego Nowosielskiego (ciekawy, ale raczej niewiele mówiący o jego artystycznym tao) albo prace Władysława Hasióra (jedna naprawdę mocna – odwołująca się do tragedii pompejańskiej) były najlepsze spośród tych, którymi dysponujemy?

Skoro jesteśmy w muzeum, które powstało jako efekt awangardowej idei samych artystów, pierwszym terytorium, na jakie wchodzimy, jest właśnie „muzeum”. I zestaw obrazów przedstawiających, autorstwa Tytusa Czyżewskiego czy Tadeusza Prusz-

Wystawa w ms²

Foto: ALEKSANDRA TALAGA-NOWACKA

kowskiego – od tego zaczynamy, by później przekonać się, jak daleko w krótkim czasie sztuka odeszła od tego typu estetyki.

Krok dalej – zestaw obrazów suprematystycznych. Podpisane – Kazimierz Malewicz. Ale nie – prac Malewicza łódzkie muzeum w zbiorach niestety nie ma – to instalacja serbskiego artysty podszywającego się pod znanych twórców, gra z pojęciem oryginalności dzieła sztuki, podważenie jej znaczenia (a przy okazji także sposób na swoiste wypełnienie luki w łódzkiej kolekcji). W centralnym miejscu słynny czarny kwadrat na białym tle – gdzie indziej na wystawie znajduje się sfilmowany performance Zbigniewa Warpechowskiego, na którym biczowany jest człowiek leżący krzyżem właśnie przed owym kwadratem.

Nie mogło zabraknąć dzieł Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro – to podwaliny tej kolekcji i jej najbardziej charakterystyczny rys. Prace tych dwojga przewijają się przez całą ekspozycję – co pokazuje, jak są uniwersalne i wielowarstwowe. Kuratorzy wybrali też dzieła odwołujące się do ich dzieł – co z kolei pokazuje siłę oddziaływania tych idei. Chyba we wszystkich kolejnych odsłonach kolek-

cji pojawia się praca Anny Orlikowskiej: skromna, ale o mocnym przekazie: nawiązująca do twórczości Kobro przestrzenna kompozycja – schemat piwnicy, w której Fritzl przetrzymywał gwałconą przez siebie córkę. Przestrzeń jako narzędzie opresji.

Kolejne terytoria odkrywają kolejne pokłady treści w najróżniejszych dziełach. „Eksperyment”, „maszyna”, „kapitał”, „postęp”, „rewolucja” – same nazwy działów mówią o tym, co w nowoczesności, a zatem także w nowoczesnej sztuce najważniejsze. Na „wyspie” propagandy znalazły się m.in. prace socrealistyczne – dziś muzeum już się nie wstydzi takich kwiatków w kolekcji, w końcu to znak czasów. I znów można smakować zderzenie niezłego przecież, ale jednak socrealistycznego obrazu Wojciecha Fangora, z jego wspaniałymi op-artowymi kołami, których wartość rynkowa gwałtownie rośnie.

Wystawa będzie czynna przez trzy, cztery lata, w tym czasie prace będą przemieszczane. *

„Atlas nowoczesności. Kolekcja sztuki XX i XXI wieku”. Wystawa stała w Muzeum Sztuki ms² (ul. Ogrodowa 19).



Słowa, słowa, słowa

Aleksandra Talaga-Nowacka

Wszystko, co oglądamy w telewizji, słyszymy w radiu, czytamy w prasie i Internecie to manipulacja – zdaje się mówić Jarosław Kozłowski i trudno nie przyznać mu racji. Wzbudzone są takie masowe reakcje, na jakich komuś zależy. Media, władza, polityka, pieniądze, towarzyskie układy – to jeden kocioł, z którego serwuje się nam przemieloną paćkę dla „zaspokojenia” głodu informacji. Publiczne dyskusje z udziałem ekspertów – bo przecież każdy zna się dziś na wszystkim – oddalone są od realnych codziennych problemów.

Ale to tylko punkt wyjścia dla dwóch projektów tego ważnego artysty konceptualnego pokaziwanych w Atlasie Sztuki. Dlaczego to istotna twórczość? Kozłowski analizuje i trafnie diagnozuje rzeczywistość, wskazując jej pułapki, bada mechanizmy percepcji, gra językiem, szuka relacji między codziennymi przedmiotami, prowadzi dyskurs ze sztuką – znajdując dla swoich idei przekonującą, raczej lapidarną formę.

Instalacja „Wszystko buczy oprócz tego, co bulgocze” powstaje od 2012 roku. Na pionowych wyświetlaczach szybko przesuwają się kolejne, ułożone z czerwonych diod słowa wyjęte z publicznych dyskusji – i z kontekstu. Bełkot nie gaśnie nawet na chwilę. Czerwona poświata zagarnia przestrzeń, tak jak słowa zagarniają umysł. To słowa wielkie – jak ojczyzna, naród, patriotyzm, honor i mniejsze – jak prowokacja, wybuch, profanacja. Są też podle małe – hieny, oszołomy, ścierwa, szuje, motłoch. Aż trudno uwierzyć, że takich epitetów używa się publicznie w takim natężeniu.

Wyrazy nikczemne poddają się takiej samej deklinacji jak te godne: druga część instalacji to „szkolne” plansze z odmianą tych samych słów, które przewijają się przez wyświetlacze. Wszystkie starannie wykaligrafowane. Przez tablice świetlne tylko przelatują, tutaj trwale zapisują się nam w pamięci.

W drugiej sali galerii – instalacja „Recycled News 2”, powstająca od 2006 roku. Na czterech ścianach – geometryczne malarskie płaszczyzny złożone z modułów. Z bliska widać, że moduły to zamalowane na jeden kolor i oprawione w ramki rozkładówki gazet z całego świata. W wielkie panele układają się na równi gazety poważne i tabloidy, prawicowe, centrowe i lewicowe. Nie ma między nimi różnicy – stosują podobne metody, zrobią wiele dla poczytności. Gdy wymaże się ich treść, tracą jakiegokolwiek znaczenie. Ale czy artysta – krytyk rzeczywistości, oprawiając gazety w ramki, nie sugeruje (choćby ironicznie), że manipulacja to też sztuka?

Hałaśliwy medialny przekaz jest zderzony z całkowitą ciszą panującą w galerii. Choć to sztuka konceptualna, której domeną jest myśl, idea, Jarosław Kozłowski nie rezygnuje z artystycznej formy. Całość jest niezwykle estetyczna. Ważny jest rytm, układ kolorów, harmonia.

Ta niezwykła wystawa to trzeci projekt Atlasu Sztuki, który powstał we współpracy z Fundacją Profile kierowaną przez Bożenę Czubak – kuratora ekspozycji. *

Jarosław Kozłowski „Dekompozycje”. Wystawa w Galerii Atlas Sztuki (ul. Piotrkowska 114/116) – do 6 IV.

Wylatują z gniazda

Aleksandra Talaga-Nowacka

Czternasty raz możemy oglądać najlepsze dyplomy obronione w Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Pierwszy raz wystawę zorganizowano pod nazwą „Prime Time” (zamiast „Rocznik”). To ma być dla studentów „czas najlepszej oglądalności”.

Jak niemal co roku, także teraz najciekawsze są prace projektowe. Zapewne łatwiej wymyślić konkretny przedmiot niż oddać za pomocą farb to, co autorowi w duszy gra – w taki sposób, by zainteresować widza. Zresztą werdykt jury mówi sam za siebie. Najwyższe laury zdobyły projektantki: złoty medal – Monika Gromadzińska, srebrny – Danuta Włodarska. Brąz słusznie przypadł Stanisławowi Matsilevichowi za rysunkowy poliptyk. Wyróżniono Ewę Pilarską (praca projektowa), Darię Samołyk (malarstwo) i Agatę Zarzycką (grafika).

Kolekcja Moniki Gromadzińskiej „Bless me” to nieco futurystyczne ubiory i buty na koturnach. Lepiej byłoby obejrzeć te projekty podczas pokazu.

Danuta Włodarska nawiązuje do motywów orientalnych, wykonując pokryte ornamentami stoły. Ale zrobiła też interesujący aneks – pokonstruktywistyczną kolażową animację inspirowaną wierszem Allena Ginsberga. Rysunki Stanisława Matsilevicha z ludźmi-potworami o zaciśniętych pięściach można rozumieć jako metaforę społeczeństwa. Abstrakcyjne grafiki Agaty Zarzyckiej wyglądają jak obrazy. Ewa Pilarska projektem „Niezaobrączkowani” bierze udział w kampanii na rzecz zalegalizowania związków partnerskich. Najciekawsze są w nim plakaty z wyrazistym przekazem.

Prace laureatów nie są jedynymi, na które warto zwrócić uwagę. Jeśli chodzi o autorów plakatów, wspomnę Michalinę Maciaszek (prace całkowicie odchodzące od łódzkiej tradycji konstruktywistycznej) i Justynę Surdykowską-Dąbrowską (czerwonoczarно-białe plakaty do filmów Almodóvara).

Michał Krzyszkowski pokazuje animację komputerową, w której nie wiem, o co chodzi (następują po sobie sceny realistyczne i elementy geometryczne), ale wykonana jest całkiem zgrabnie. Delikatne grafiki Katarzyny Klonowskiej przypominające wizerunki mikroorganizmów zasługują na wyróżnienie. Edyta Andryszak wykonała ciekawy projekt identyfikacji wizualnej pewnej marki odzieżowej.

Z ciekawością przejrzałam projekt gazety autorstwa Piotra Zakrzewskiego – ładnie się prezentuje, ale autor nie wymyślił nic nowego. Tak wyglądają dziś gazety. Klara Cicha zaskoczyła za to zabawną interpretacją piosenki „San Francisco” Scotta McKenzie: to fotokolaże z ludźmi o pyskach psów.

Elżbieta Stańczak namalowała serię obrazów inspirowanych muzyką, z których jeden zwrócił moją uwagę. Z czerni tła wylania się a to fragment instrumentu, a to dłoń, a to twarz kobiety – malowana jak w dobrych obrazach realistycznych. Dekonstrukcja duszy artysty.



I, na koniec, pomysły praktyczne. Małgorzata Pieczenko i Weronika Ročławska (jej praca na zdjęciu) zaprojektowały modułowe kanapy. Można użyć jednego elementu, albo rozbudowywać siedzisko do woli. Przydatne nie tylko w mieszkaniu, ale i w przestrzeniach publicznych. *

„Prime Time”. Wystawa w Centralnym Muzeum Włókiennictwa (ul. Piotrkowska 282) – do 23 III.

Sztuka relaksu

Po regionie łódzkim jeździ nietypowa wystawa – Andrzej Cieślik prezentuje zaprojektowaną przez siebie scenografię do nieistniejącego (jeszcze) spektaklu. To sześć osobnych prac (w większości są to wykonane z pleksi konstrukcje przypominające parawany) tworzących wspólnie opowieść o morzu; wystawa przewidziana do relaksowania się – stąd stonowana muzyka z dźwiękami przyrody, ale i zachęcające do siadania białe poduszki na podłodze-pląży, przypominające otoczaki.

Premiera ekspozycji odbyła się w Łódzkim Domu Kultury – stąd instalacja pojechała do Miejskiego Ośrodka Kultury w Opocznie, w dniach 4-16 III można ją oglądać w Galerii Ogród Sztuki w Konstantynowie Łódzkim.

Andrzej Cieślik to postać znana w województwie łódzkim – dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury w Konstantynowie Łódzkim i organizator dorocznego pleneru „Pejzaż malowany ziemi łódzkiej”.

A wcześniej – scenograf teatralny po Policealnym Studium Techniki Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Przez 10 lat był asystentem Xymeny Zaniewskiej (znanej scenograf i projektantki mody), brał udział w realizacjach Adama Hanuszkiewicza; ma też na koncie własne realizacje scenograficzne. Poza tym zajmuje się projektowaniem wnętrz.

Jako artysta oprócz malarstwa sztalugowego lubi tworzyć instalacje. Ta, którą właśnie pokazuje, jest druga z kolei.

Andrzej Cieślik: – *Scenografia powstała ze szkiców i akwael, które malowałem*

w ciągu dwóch lat nad Bałtykiem. Tam odpoczywam. Znalazłem takie miejsca, gdzie nie ma ludzi: okolice Wiselki przy Międzyzdrojach czy pogranicze Łazów i Unieścia. Tam też nagrałem odgłosy fal, mew i fok. Później poprosiłem Przemka Kuczyńskiego-Bębna o napisanie do tego muzyki, relaksujących wstawek fortepianowych. Instalacje funkcjonują na zasadzie witrażu – mają sens tylko, gdy są od zewnątrz podświetlone. Użyłem przezroczystych materiałów, oddających właściwości wody, powietrza, spotkanie nieba z ziemią. Pokazuję różne oblicza morza.

*Myszę, że dojdzie do tego, że ta instalacja zostanie wykorzystana w jakimś spektaklu. To gotowe elementy. W mojej pracy zdarzało się już, że najpierw powstawała scenografia, a dopiero potem przedstawienie. Może w tym wypadku będzie tak samo. Muzyka już jest – można ją rozbudować o etiudy baletowe, teatralne, pantomimę. To się może fajnie rozwijać. **

ATN



Instalacja pt. „Teraz mewy mają głos”

Z dziennika naczelnej

Małgorzata Karbowiak



Foto: MALGORZATA SZAFRAŃSKA

1 Nikt tak długo nie przetrwał w „Kalejdoskopie” jak ja – jako szefowa. Niespełna 14 lat! Pewnie dlatego redakcja poprosiła mnie o zwierzenie nt. „wytrzymałości materiału”, tym bardziej że chętnych na zastąpienie mnie z dnia na dzień nie brakowało. Ale nie udało się to nikomu ku chwale niezależności mediów, o którą zresztą szczególnie dbałam. Odeszłam w końcu sama, pozostawiając kolegów kompetentnych, gotowych na wszystko, obdarzonych poczuciem humoru.

2 Ile się w tym czasie nawyprawiło! W polityce informacyjnej, komunikacji społecznej, technologiach przekazu... We wrześniu 1999 roku „Kalejdoskop” był jeszcze miejskim informatorem kulturalnym, w styczniu 2000 zaś, ze względu na reformę administracyjną, pismem obejmującym już

całe województwo. I stąd nowy dylemat – jak pogodzić tematykę wojewódzką z dotyczącą życia artystycznego Łodzi, nie tworząc chaosu na łamach? Bezdyskusyjna była przecież potrzeba promocji tzw. terenu. Internet także zaczął wyprzedzać media drukowane w informowaniu. Należało zatem wzbogacić zawartość merytoryczną pisma, zmienić format na większy dzięki studentom ASP, no i przyciągnąć do pisma najlepsze profesjonalne pióra.

3 W połowie 2005 roku zaszokowaliśmy (tak, tak) koncepcją magazynu, współpracując aż z siedmioma cenionymi felietonistami (ostatnie w życiu teksty napisała dla nas Maria Kornatowska), wytrawnymi recenzentami i publicystami, a także z autorem literackich szopek. Okładka z „pejzażem twarzy” stała się znakiem rozpoznawczym „K”. Tak jak wkładka wakacyjna i stały cykl konfrontujący różnorakie opinie nt. kultury. Ba, dzięki „Kalejdoskopowi” Robert Dybalski ufundował dla opery tablicę upamiętniającą Fryderyka Sellina, budowniczego czterech łódzkich teatrów, a inny nasz pomysł przyniósł organizację festiwalu nowych mediów. A oto i nasz programowy priorytet – rozwój uczelni artystycznych, tworzenie ośrodka ponadregionalnego, wspieranie młodych artystów (nagrody). Województwo interesowało nas przede wszystkim w systemie naczyń połączonych z miastem, a więc tego, co wpływa na kształt całego regionu.

4 Dążyliśmy do tego, by stać się pismem metropolitalnym całą gębą, a nie prowincjonalnym. Gdy więc czytam w „Polityce” raport o Łodzi, wiem, że moje ambicje przekształcenia w przyszłości „Kalejdoskopu” w tygodniowe pismo społeczno-kulturalne były uzasadnione. Jak napisano, brakuje takiego tytułu... *

Kultura w roku 2000

„Kalejdoskop” obchodzi właśnie 40-lecie! Z tej okazji w każdym numerze publikujemy nie tylko wspomnieniowy tekst jednego z byłych redaktorów naczelnych (czytaj obok), ale też wybrany ciekawy artykuł, jaki wydrukowano w „Kalejdoskopie” w czasie jego kadencji.

Zatem – poniżej wybór opinii, które ukazały się w numerze 12/1999 pod hasłem „Rok 2000 – przełom czy stagnacja?” (poproszono ludzi kultury o wskazanie najpilniejszych spraw do załatwienia w 2000 roku). Niektóre stwierdzenia są zadziwiająco aktualne...

WOJCIECH NOWICKI

Dyrektor naczelny Teatru im. Jaracza:

Najważniejsze, żeby nie utopić się w szczegółach. Narzekamy, że na wszystko brakuje pieniędzy, ale nie to jest najważniejsze. Myślę, że główna „sprawa do załatwienia” leży na szczeblu ogólnopolskim. Decydenci (MKiS?) nie mogą dłużej czekać z reformą organizacyjną, finansową i prawną instytucji kultury i udawać, że jest świetnie, a będzie jeszcze lepiej, tylko jeszcze poczekajmy. Trochę jak dzieci: wszystko jutro, później, kiedyś...

A ja sobie kupiłem za 9 złotych Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, w której są bardzo interesujące dwa passusy na temat kultury (fakt, że są tylko dwa, też jest symptomatyczny). Oto one: „Rzeczpospolita Polska stwarza warunki upowszechniania i równego dostępu do dóbr kultury, będącej źródłem tożsamości narodu polskiego, jego trwania i rozwoju”. I dalej: „Każdemu zapewnia się wolność twórczości artystycznej (...), a także wolność korzystania i dostępu do dóbr kultury”. Władza nie może zatem wykpić się od tego, co tu jest napisane,

ale na razie rząd tak naprawdę ma wpływ tylko na dwie instytucje w Polsce: na Teatr Narodowy i Stary. Resztę kultury instytucjonalnej w całym jej ogromie rząd zepchnął do samorządów, ale pieniędzy nie dał (...). W Konstytucji mówi się o gwarancjach dostępu do kultury dla całego narodu i o tożsamości narodowej, tymczasem władza kombinuje tak: „O, to już zdechło, trudno – już nic nie poradzimy...”. A przecież nasze dzieci też powinny mieć szansę udania się do teatru niekomercyjnego, zobaczyć i dobrą bajkę, i Słowackiego, i Moliera.

Może rzeczywistość teatrów jest za dużo; a może za mało? We Francji rząd zapewnia byt 24 teatrom narodowym, reszta walczy sama przy pomocy samorządów i donatorów prywatnych. Jednak istnieje pewien obszar bezpieczeństwa. Powstaje pytanie, kto ma wyznaczyć w Polsce te instytucje, kto weźmie odpowiedzialność? Na razie nikt się nie kwapi, by podjąć arbitralne, niepopularne decyzje. Nie wiem, czy za parę lat „Jaracz” przestanie istnieć, czy będzie biednym, kulejącym teatrem albo tylko on się ostanie w całym regionie. A może tylko w Warszawie będą jeszcze teatry, bo władza da tu, a może da tu...? Sensowną „polityką kulturalną” nikt sobie niestety nie zaprzęta głowy.

ANTONI SZRAM

Dyrektor Muzeum Kinematografii w Łodzi:

(...) Jeśli chodzi o plany zawodowe, to nadal oczekuję szansy na realizację wielkiej wystawy rzeźby i scenografii filmowej w parku obok Muzeum Kinematografii. Na przełomie tysiącleci warto by też może pomyśleć o wspólnej wystawie wszystkich muzeów Łodzi, na przykład na ulicy Piotrkowskiej; mają one bogate zbiory, wciąż mało reklamowane. Taka nietypowa, przemyślana akcja na ulicy różnych muzeów obok siebie mogłaby stworzyć bardzo intrygujący pokaz kondycji ludzkiej w najróżniejszych jej przejawach. Generalnie jednak trzeba wreszcie w Łodzi wypracować szeroką koncepcję promocji. Szczególnie dla kultury, która przejdzie niebawem na status przedsiębiorstw, a to wymaga strategii.

Wola plebana

Bogdan Sobieszek

Ksiądz Henryk Linarcik nie wierzy w przypadki. Gdy był uczniem XXXI LO w Łodzi, polonistka mówiła mu o ks. Jędrzeju Kitowiczu, autorze „Opisu obyczajów za panowania Augusta III” i proboszczu Rzeczyca. Ale już wcześniej wraz z kolegami z klasy znalazł się pod tamtejszym kościołem i tablicą pamiątkową poświęconą pisarzowi. Po raz kolejny trafił do Rzeczyca z wycieczką ministrantów. Wreszcie jako ekonom Diecezji Łowickiej wizytował znajomą parafię. Kiedy w 2004 roku biskup Alojzy Orszulik zaproponował mu rzeczyckie probostwo, ks. Linarcik tylko uśmiechnął się pod nosem.

– Przyjąłem, bo uznałem, że to jest znak: trzeba coś z tym Kitowiczem zrobić. Chciałem mieć mocne wejście. Otworzyłem encyklopedię, szukając jakiejś daty. I była – dwusetna rocznica śmierci.

A w Rzeczyca o księdzu Jędrzeju Kitowiczu cisza. Był tu proboszczem od 1781 aż do śmierci 3 kwietnia 1804 roku. Zgodnie z testamentem spoczął pod ołtarzem starego drewnianego kościoła. Kiedy budowano obecny kościół, konsekrowany w 1891 roku, prochy przeniesiono na cmentarz i dołożono do grobu jednego z kapłanów. W 2004 roku w Rzeczyca była tylko ulica jego imienia. Miejscowej szkole patronuje Narcyza Żmichowska, która tutaj trzy lata pracowała jako nauczycielka i napisała „Pogankę”. A ks. Kitowicz nawet grobu nie miał.

Dzięki staraniom ks. Linarcika uroczystości rocznicowe odbyły się w październiku. Spóźnione, ale jednak. Nowy proboszcz zaczął od ustalenia na



Odrestaurowany portret rzeczyckiego plebana

podstawie ksiąg parafialnych miejsca złożenia prochów. Potem pomyślał, że najlepiej uczci rocznicę, sprowadzając do Rzeczyca spektakl wyreżyserowany przez Mikołaja Grabowskiego na podstawie „Opisu obyczajów” Kitowicza. Obchody trwały trzy dni – było przedstawienie przygotowane przez młodzież, wykład Marii Dernałowicz z Warszawy, na cmentarzu umieszczono tablicę pamiątkową, podczas mszy śpiewał chór z Wrocławia. Na koniec

w remizie strażackiej wystąpili aktorzy krakowskiego Teatru Starego przy pełnej sali i wielkim zainteresowaniu mediów.

Z czasem postać ks. Kitowicza zawładnęła myślami ks. Linarcika. Zaczął drążyć. Szczególnie pochłonęły go dwa tematy. Pierwszy to pamiątki po słynnym plebanie. Istnieją dwa portrety Kitowicza, namalowane pod koniec jego życia w Rzeszycy. Jeden, przekazany testamentem siostrzenicy, znajduje się w Bibliotece Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Ksiądz Henryk zamówił kopię tego portretu, ale najpierw trzeba było przeprowadzić jego renowację. Połowę pieniędzy na ten cel dał z własnej kieszeni.

Drugi portret, według niektórych katalogów zażytków, wciąż ma znajdować się parafii w Rzeszycy. Jednak ostatni ślad po nim zawiera spis parafialny z 1920 roku. Jest tam pozycja: „Portrety dostojników kościelnych – sztuk 14” (wśród nich znajduje się konterfekt Kitowicza). Nie ma żadnego. Ks. Linarcik ustalił, że rzeszyckie malowidło jest dziś własnością Muzeum Literatury w Warszawie. Zostało kupione w Desie w 1974 roku. Desa nie udziela informacji, więc nie wiadomo, jak się tam znalazło.

O kolejnej pamiątce po swoim słynnym poprzedniku proboszcz dowiedział się z karty konserwatorskiej parafii. W punkcie „Ornat, XVIII wiek” ktoś ołówkiem dopisał „w roku 1992 stwierdzono brak”. Pewnego dnia ksiądz znalazł go w pomieszczeniu z rupieciami. Był zwinięty w rulon i wciśnięty w kąt szafy. Został oddany do naprawy w pracowni konserwacji tkanin w katedrze wawelskiej. Część kosztów pokrył wojewódzki konserwator zabytków, resztę – parafia.

Ks. Linarcik drążył też sprawę życiorysu Kitowicza, o którym niewiele tak naprawdę wiadomo, zwłaszcza o jego okresie rzeszyckim. Na wsi cichej i spokojnej autor „Opisu obyczajów” miał czas, żeby uporządkować zbierane przez lata zapiski. Księdzu Henrykowi udało się ustalić dokładną datę urodzin (25 listopada 1728) i pochodzenie byłego urzędnika dworskiego i konfederata barskiego. Znalazł akt małżeństwa jego rodziców. Przy nazwisku ojca jest określenie „nobiles”, czyli szlachetnie urodzony.



Ksiądz Henryk Linarcik

– *Jeśli będzie mi dopisywało zdrowie i Pan Bóg pobłogosławi, to chciałbym napisać książkę o Kitowiczu. Zrobiłem solidną kwerendę, trzy lata jeździłem po bibliotekach. Mam fotokopie wszystkich jego rękopisów, cały „Opis obyczajów” i „Historię Polski”. W Bibliotece Polskiej w Paryżu są listy Kitowicza, których dotąd nikt nie opracował naukowo. Mam je wszystkie w fotokopiach – ponad tysiąc stron tekstu.*

Naturalną konsekwencją tych zainteresowań był pomysł utworzenia w Rzeszycy muzeum ks. Kitowicza. Poprzedni wójt Marek Pałasz wyraził chęć współdziałania. Podpisano umowę; parafia użyczyła budynek „organistówki” na 25 lat, a gmina miała zorganizować tam muzeum. Byłoby to miejsce ekspozycji pamiątek po autorze „Opisu obyczajów”, ale także centrum kultury. Może wreszcie Kitowicz stałby się znakiem firmowym Rzeszycy.

Kiedy jednak nastał nowy wójt Marek Kaźmierczyk, gmina wycofała się ze współpracy. Tłumaczy się brakiem (zewnętrznych i własnych) środków na stworzenie i utrzymanie muzeum. Ważniejsze są nowe drogi i kanalizacja. Wójt próbuje zerwać umowę, proboszcz nie wyraża zgody. I od października trwa korespondencja.

Ksiądz Henryk Linarcik nie poświęca się jednak wyłącznie Kitowiczowi. Wydobyl z zapomnienia postać ojca Papczyńskiego, założyciela zakonu



„Organistówka”, w której mogłoby powstać muzeum ks. Kitowicza

Foto: BOGDAN SOBIESZEK

Marianów, który w pobliskiej Luboczy był kapelanem na dworze Karskich. Oprócz codziennej pracy duszpasterskiej od 10 lat remontuje też kościół. Do każdego etapu tych prac dokładał się minister kultury.

– Ofiarność parafian też jest bardzo duża. Od początku cieszę się zaufaniem ludzi, choć oczywiście dotarły do mnie plotki, że przy okazji tych remontów wybudowałem sobie kolejną willę w Łodzi, „bo przecież gdyby nic z tego nie miał, to by tego nie robił”. A moim jedynym majątkiem jest 37-metrowe mieszkanie na Teofilowie w Łodzi, które odziedziczyłem po zmarłej siostrze. Tam pewnie spędzę emeryturę.

Dzisiaj jednak ks. Linarcik nie myśli o odpoczynku. Regularnie organizuje imprezy kulturalne. Gdy zaczynała działalność gminna orkiestra, instrumenty wypożyczyła parafia. Dumą księdza Henryka jest chór parafialny. Świetne głosy, a był czas, że się zniechęcili, więc proboszcz prywatnie zaprosił Piotra Wójtowicza z Teatru Wielkiego z Łodzi, by poprowadził chór. – Przecież nie stawiam sobie pomnika, tylko chcę zrobić coś dla ludzi – mawia ksiądz.

Wielokrotnie śpiewała Anna Cymmerman, artyści Teatru Wielkiego. W listopadzie odbył się w kościele koncert niepodległościowy, w którym uczestniczyli Włodzimierz Korcz i Alicja Majewska. W styczniu po raz kolejny – tym razem z koncertem kolęd – wystąpiła kapela góralska Hora. Artyści chętnie

wracają do Rzeczy, urzeczeni ciepłym przyjęciem publiczności i szczególną atmosferą, jaką tworzy proboszcz. Mówił o tym na łamach „Gościa Niedzielnego” Włodzimierz Korcz. Wrażenie zrobiły na nim słowa ks. Linarcika żegnającego parafian po koncercie: „Dziękuję, że przyszlście. Kocham was”.

Może dlatego to miejsce wciąż pozostaje ważne dla Mikołaja Grabowskiego. Gdy zmarła mama Andrzeja i Mikołaja, poproszono proboszcza Rzeczy, by poprowadził pogrzeb w Alwerni. W 2009 roku Mikołaj z żoną Iwoną Bielską i Tomaszem Karolakiem zaproponowali, żeby trzecia wersja „Opisu obyczajów” powstała w Rzeczy. I rzeczywiście, aktorzy pomieszkowali w Spale, na plebanii się stółowali, a próby robili w Gminnym Ośrodku Kultury. Uroczysta premiera spektaklu „O północy przybyłem do Widawy, czyli Opis obyczajów III” odbyła się 19 marca 2010 roku w remizie. Był czerwony dywan i warszawka przybyła do Rzeczy.

– Niebawem – w kwietniu – wypada 210. rocznica śmierci ks. Jędrzeja Kitowicza. Oczywiście będzie wystawienie „Opisu obyczajów III”, przeniesienie prochów do kościoła, odsłonięcie kopii portretu i popiersia z piaskowca, może zrobimy wystawę okolicznościową – wylicza ks. Linarcik.

Ksiądz czuje się następcą proboszcza Kitowicza? – pytam i słyszę natychmiastową, lecz cichą odpowiedź: – *Nie jestem godzien.* *

Maria z Polesia



Maciej Cholewiński

Zderzenie z rzeczywistością „starego” Polesia może być doświadczeniem traumatycznym. To chyba najbardziej klaustrofobiczna dzielnica Polski, zbudowana na planie prawie doskonałej szachownicy, wysokie domy, ciasne podwórza... I ci faceci wystający na rogach, i te spożywcze, warzywniaki, chemia, odido, te nocne, fioletowe nosy, nieogolone twarze, zachrypnięte głosy. Zapach ubrań z wilgotnych mieszkań, zimno bijące z klatek schodowych, dym papierosowy, co drugie słowo na k, ch, w, j lub p. Czasem z tej kombinacji ktoś ułoży i nabazgrze na murze credo „HWDP”. I te napisy sławiące białoczerwono-biały klub piłkarski, puste lokale, brudne okna. Ogłoszenia przyklejane do rynien: „pożyczka bez Biku”, „miałeś wypadek? Odszkodowania...”. Pozostałości po trawnikach zadeptanych (łagodnie ujmując) przez psy, czy zresztą winne są psy? Dzieciarnia biega samopas, nie nosi czapek i przeklina. Rano spotyka się idących do pracy. Pchają wózki, ale bez dzieci. Wypełnione złomem, makulaturą, kłębowiskiem drutów, a w antyreklamówkach (bo podarte i brudne) – puszki po piwie. Pod stopami kamienie, gruz, krzywe trotuary, a na drzewach zamiast liści... foliowe torby albo buty powieszona za sznurówki. Napisy i szyldy: najtańsze, okazja, przecena, alkohole i na końcu – „grozi zawałem”. Aż chciałoby się westchnąć z podziwem jak Wojciech Pszoniak alias Moryc Welt – „Co za miasto!”.

Znalazł się też obraz ukazujący pogodniejszą twarz dzielnicy, która latem wypoczywa... Grill w parku przy fontannie, w której moczy się nogi, kąpią się dzieci i psy. Pieką się kiełbaski po 5,50, piwko, kocyk, wszyscy mają tatuaże! Klapki. Chłopaki są

łysi. Dziewczyny fajne. Te starsze już trochę przykości. Komuś zrobiło się niedobrze. Parka w krzakach. Śmieci pieprznęte za siebie. Co za miasto!

Autorka zajrzała też do mieszkań. Całkiem miło. Podobno takie obrazki można też obejrzeć na naszej klasie albo na fejsbuku, potem skarbówka się czepia, tak słyszałem. Tu się chyba nie przyczepi. Owszem, w tle widać komputer albo plazmę, ale co to za luksus? Mieszkańcy są mili. Pani w zalotnej pozie, uśmiechnięta, hoduje kwiatki. Chłopak, który wygląda jak modelowy miłośnik heavy metalu z lat 70. On i ona wśród pluszaków. Na stopach łąpcie, na ławie kawa. Tylko dziewczyna w bluzce w kwiatki jakaś niezadowolona. Ale następna parka jest rozbawiona. Butelka i dwa kieliszki, a na dywanie pod ławą butelka pusta i pełna – z „popitką”. Co za miasto!

A jednak je lubię. Ciekaw jestem, czy lubi je i autorka tej znakomitej wystawy pt. „Hurt” – Maria Apoleika – nie ulega chyba wątpliwości, że łódzka malarka? Ona te wszystkie sytuacje zobaczyła i odmalowała na niewielkich kawałkach sklejk, kolorami takimi jak Łódź – dużo różnych szarości i pasteli z ognistą czerwienią albo niebieskościami. Sportretowała to bryłowane, genialne miasto i jego mieszkańców. Pokazała planetę, trochę przypominającą Ziemię, na której wykształciła się zastanawiająca forma cywilizacji, jakiś ekosystem, jakieś endemiczne gatunki... Jestem szczerze zachwycony.

Wystawa odbyła się na przełomie stycznia i lutego w Galerii Czynnej przy ul. Piotrkowskiej 68, w pustym sklepie wynajętym na trzy wieczory przez trio Ogórek, Polak, Załuski.

Mistrzowskie fanaberie



Bogdan Sobieszek

Znany łódzki skrzypek – koncertmistrz Filharmonii, menedżer i organizator m.in. Festiwalu Geyer Music Factory, posiadacz unikatowych skrzypiec – Tomasz Gołębiewski pozwolił sobie, jak sam twierdzi, na fanaberię i wydał własną płytę. Zabrał się do tego profesjonalnie, zapraszając do współpracy znakomych artystów: sopranistkę Iwonę Hossę, amerykańskiego trębacza Gary’ego Guthmana, saksofonistę Jakuba Raczyńskiego, akordeonistę Krzysztofa Raczyńskiego, gitarzystów Marka Piaskowskiego i Pawła Sępnika, Apertus Quartet oraz Trio Macieja Latałskiego (który materiał na płytę skomponował i zaaranżował).

Okoliczności zatem były sprzyjające temu, by powstało frapujące dzieło. Jednak sam animator przedsięwzięcia z góry uprzedza, by nie spodziewać się fajerwerków: „Powstała muzyka miła do słuchania, która daje odpocząć, nie przeszkadza w spokojnej rozmowie, czytaniu książki czy piciu dobrego wina” – pisze na okładce. Jeśli kogoś to zachęca, to proszę bardzo. Ja mam kłopot, bo nie tego oczekuję, wkładając krążek do odtwarzacza.

Na szczęście nie całkiem sprawdziły się jego zapowiedzi. Jestem pełen uznania dla perfekcyjnego brzmienia nagrań. Udało się wydobyć aksamitną barwę wyjątkowych skrzypiec. Zachwyca ciepły, łagodny dźwięk trąbki i delikatnego, operującego niuansami saksofonu. Świetnie wypełnia tło kwartet smyczkowy, budując szeroką harmonię i ciekawe faktury, często w niskich rejestrach, oddając górę Gołębiewskiemu. Słysząc aranżacyjne bogactwo i realizacyjną sprawność. Dlaczego zatem zwłaszcza pierwsze utwory na płycie – „QLaGo Chill”, „Goti-

ta” – nie zachwycają? Zabrakło ciekawych pomysłów na kompozycje – banalne, powtarzane wielokrotnie tematy, schematy harmoniczne powodują, że przebieg utworu staje się oczywisty i przewidywalny.

Stylistycznie ta muzyka łączy klasykę, jazz i rozrywkę, ale wszystko podane jest w konwencji cukierkowo-nastrojowej ilustracji dźwiękowej kojarzącej się z kiczowatymi filmami, bądź reklamami ekskluzywnych słodczy („Francamente”, „T.T.T.T”). Podczas słuchania przychodzą do głowy strzępy zasłyszanych melodii i motywów, ograne następstwa akordów. Rzadko do głosu dochodzą prawdziwe emocje, jak w utworze „Grito” zbudowanym na bazie tanga argentyńskiego. Synkopowany rytm, ciekawy duet skrzypiec z akordeonem, zaskakujące współbrzmienia wyraźnie ożywiają przekaz.

Dużo dobrego dzieje się w następnym „Tristeza”. Potężna wokaliza na finał sprawia, że baczniej nadstawiamy ucha. Dalej też jest ciekawie – jazzowy „Equilibrio óptimo” zaczyna się tematem trąbki i oryginalną harmonią smyczków w tle. Środkowa część utworu, jakby wklejona z innej płyty, pod względem rytmu i aranżacji ewidentnie pomyślana została w stylu Pata Metheny’ego. Album kończy subtelna kompozycja „Payaso muerto”, gdzie ważną rolę odgrywa cisza, w której dialogują fortepian, trąbka i skrzypce.

„Corazón de paloma” to nie byle jaka płyta, choćby dlatego, że współtworzą ją wybitni artyści. Mam jednak wrażenie, że mogła być o wiele lepsza, gdyby powodem do spotkania mistrzów był mistrzowski repertuar, a nie fanaberia, nawet ze wszech miar szlachetna.

Powrót Kleckiego

Janusz Janyst

Kolejny wybitny urodzony w Łodzi kompozytor emigracyjny wychodzi z cienia. Po Aleksandrze Tansmanie i Miłoszu Maginie przyszła pora na niezjącego już Pawła (Paula) Kleckiego. Wprawdzie międzynarodową sławę osiągnął on jako dyrygent, to jednak ma też wcale pokaźny i wartościowy dorobek kompozytorski, obejmujący symfonie, koncerty, muzykę kameralną, pieśni. Na razie jego utwory, wykonywane niejednokrotnie za granicą, są w Polsce niemal zupełnie nieznanne. I Łódź niczym się pod tym względem nie wyróżnia. Jednak dzięki miejscowym muzykom sytuacja zaczyna się powoli zmieniać. Firma DUX wydała właśnie pierwszą w naszym kraju płytę z utworami łodzianina.

Ale najpierw kilka słów o samym dyrygencie i kompozytorze. Urodził się w 1900 r. w muzycznej rodzinie łódzkiego przemysłowca. Wcześniej rozpoczął naukę gry na skrzypcach i robił takie postępy, że w wieku 15 lat został członkiem nowo powstałej Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej (która po latach przeobraziła się w Filharmonię Łódzką). W 1919 r. wystąpił z tym zespołem jako solista w *Koncertcie skrzypcowym* Saint-Saënsa. Potem zaczął studiować w Konserwatorium Warszawskim w klasach dyrygentury Emila Młynarskiego oraz kompozycji Juliusza Wertheima. Z tamtego okresu pochodzą jego pierwsze utwory. W Filharmonii Warszawskiej zaprezentowana została *Sinfonietta*, w konkursie kompozytorskim ogłoszonym przez tę placówkę przyznano mu z kolei I nagrodę za *Uwerturę*.

Klecki kontynuował studia w berlińskiej Hochschule für Musik. W 1923 r. zadebiutował w Berlinie jako dyrygent, prowadząc wykonania własnych kompozycji. Jego twórczością zainteresowały się renomowane wydawnictwa (np. Simrock, Breitkopf & Härtel), publikując w latach 1923-33 wszystkie jego utwory.

W 1933 r. Klecki wyemigrował do Włoch, potem

mieszkał i pracował w Związku Radzieckim i Szwajcarii. W 1946 r., zaproszony przez Arturo Toscaniniego, brał udział w koncertach inaugurujących powojenną działalność La Scali. Występował w Europie i Ameryce Południowej. Kilka razy przyjeżdżał na koncerty do Polski.

Na wspomnianej płycie znalazły się dwa wczesne, neoklasyczne w formie, umiarkowanie modernistyczne w warstwie harmonicznnej, dzieła Kleckiego: *Sonata D-dur na skrzypce i fortepian op. 12* w wykonaniu skrzypka Łukasza Błaszczyka i pianisty Adama Manijaka oraz *Trio fortepianowe D-dur op. 16* w interpretacji Magdaleny Kling-Fender – skrzypce, Roberta Fendera – wiolonczela, Adama Manijaka – fortepian. Czteroczęściowa *Sonata*, z nasyconą emocjonalnie częścią drugą, polifonizującym *Intermezzo* oraz finałem nawiązującym do passacaglii, podana jest finezyjnie, w sposób wydobywający liczne niuansy wyrazowe.

W *Trio*, składającym się również z czterech kontrastujących ze sobą części, zaciekawia m.in. jednoczesne wprowadzenie dwóch ścierających się ze sobą tematów we wstępnym *Allegro*. Niezwykle sugestywne pod względem nastrojowym okazuje się *Adagio*, całkiem zresztą inne niż poprzedzająca je scherzowa część druga. Kameraliści w godny uznania sposób współdziałają ze sobą, kreując obraz dźwiękowy zrównoważony w poszczególnych partiach instrumentalnych, acz mieniący się wieloma kolorami. Nie sposób nie docenić też konstruktywnego wkładu w nagranie (zrealizowane w Łódzkiej Akademii Muzycznej) reżysera dźwięku Krzysztofa Sztekmilera. Melomani czekają zapewne na rejestracje następnych utworów Pawła Kleckiego. *



Wojna o kina

Krystian Paweła

Piotr Bigos to postać znana w środowisku kinowym w Polsce. Jest w zarządzie ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Kina polskie”. Od 20 lat prowadzi z sukcesem kino Polonez w Skierniewicach. Był członkiem zarządu miasta. Obecnie jest zastępcą dyrektora Miejskiego Ośrodka Kultury, w ramach którego działa kino. Działa tak prężnie, że do dziś w obawie przed konkurencją żadna z wielkich sieci nie wybudowała tu swojego kina wielosalowego. Bigos jest pozytywnym przykładem w nierównej walce lokalnych kin tradycyjnych z multipleksami reprezentującymi potężny, często obcy, kapitał.

– *Póki tu siedzę i mam układy ze szkołami, z zakładami pracy, multipleks musiałby trochę powalczyć, żeby przejąć widzów w mieście* – mówi szef Poloneza. – *Kiedyś wśród kiniarzy w Polsce krążyło takie powiedzonko: W Skierniewicach nie ma multipleksu, bo jeszcze Bigos żyje.*

Na początku lat 90. miasto przejęło od prywatnych dzierżawców zadłużone i zaniedbane kino. Obiekt został wyremontowany i wyposażony w nowy sprzęt. Można było pomyśleć o kinie komercyjnym. Udało się wykorzystać projekt Teatru im. Jaracza w Łodzi, który zakładał tworzenie scen regionalnych. Dzięki temu kino zyskało drugą salę. Gdy frekwencja wzrosła, Piotr Bigos zaczął domagać się od dystrybutorów lepszego traktowania. Wiadomo, że jeśli kino chce zaistnieć, musi grać premiery. Warszawa i Łódź są blisko i przyciągają widzów z całego regionu. Dlatego Polonez tu na miejscu musi proponować ludziom nowości i dużo grać, często zmieniając repertuar. A tylko gwarancja dużego zysku, czyli wysoka frekwencja, jest w stanie zmusić dystrybutora, żeby dał kinu jakiś tytuł.

Rynek kinowy budują kasowe filmy. Na początku

lat 90. taką lokomotywą był „Park Jurajski” (1993), a na koniec dekady przyszły „Ogniem i mieczem” (1999) oraz „Pan Tadeusz” (1999). W Skierniewicach zrobiły wyjątkowo dobre wyniki – 72 tys. widzów w ciągu pół roku (to dwa razy więcej niż normalnie). – *Mieliśmy te filmy premierowo i dowoziliśmy widzów aż z Tomaszowa Mazowieckiego* – wspomina Piotr Bigos. – *Zarobiliśmy sporo pieniędzy. Byłem wtedy w zarządzie miasta. Ówczesny prezydent zaproponował: a może byśmy jakieś radio otworzyli? I tak dzięki tym dwóm filmom w strukturach MOK powstała lokalna stacja radiowa i do dziś mocno promuje nasze kino.*

Tajemnica sukcesu tkwi w reklamie. Kiedyś zakłady pracy kupowały bilety dla swoich pracowników. Dziś kina zależą wyłącznie od tzw. widzów indywidualnych. Dlatego trzeba na bieżąco docierać do nich z informacjami o nowościach. Na celownik idą więc szkoły, wyższe uczelnie, duże sklepy i zakłady pracy. Oczywiście, żeby myśleć o konkurovani z nowoczesnymi i efektywnymi multipleksami, kina tradycyjne muszą spełniać wymogi estetyczne. Ważny stał się wystrój wnętrza i miła atmosfera miejsca, w którym widzowie będą chętnie spędzać czas. Równie istotne są warunki techniczne. Filmem, który w ostatnich latach znacząco wpłynął na rynek kinowy, był „Avatar” (2009). Od niego zaczął się bum na „cyfrę”. Większość widowni tego filmu zgarnęły kina sieci Cinema City, bo miały projektorcy cyfrowe 3D. Pozostałym, którzy pracowali na sprzęcie analogowym, tylko ślinka ciekła.

– *Pierwszy projektor cyfrowy kupiliśmy na kredyt pięć lat temu i do dziś go splacamy. Na następny projektor dostaliśmy dotację z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Z „cyfrą” wiąże się lepszy dźwięk, inne fo-*



Foto: BOGDAN SOBIESEK

Piotr Bigos

tele, lepsze ekrany. Marzy nam się trzecia sala, bo te dwie przestały już wystarczać. Niebawem będziemy instalować klimatyzację widowni.

W nowej rzeczywistości do kin wkroczyły reklamy, sale opanowała komercja, ale dzięki temu kiniarze lepiej zarabiają. Programy edukacyjne, kino szkolne, DKF tylko uzupełniają komercyjną ofertę Poloneza. Jakże zatem filmy wprowadzać, żeby dobrze zarobić? Trzeba na bieżąco śledzić rynek. Szukać na portalach, sprawdzać opinie, starać się przewidzieć, jakie będzie przyjęcie filmu. Choć różnie z tym bywa. Było spore zainteresowanie filmem o Bieberze („Justin Bieber’s Believe”), ludzie dzwoniли, pytali, więc został sprowadzony, a ostatecznie przyszło 100 osób – to żadna frekwencja. Czasem zdarzają się wpadki. – *Skierniewice z powiatem to 48 tysięcy mieszkańców i już w piątek, pierwszego dnia wyświetlania, widzimy, jak będzie się film sprzedawał. Jeśli przyjdzie 200 osób, znaczy, że ten film zapowiada się na dwa tysiące, może dwa i pół. To jest dobry wynik. Jeśli przyjdzie 50, to znak, że film nie pójdzie najlepiej, a jak przyjdzie 10 – będzie kłapa.*

Drogie kopie światłoczułe zostały wyparte przez dużo tańsze nośniki cyfrowe. A mimo to wciąż trudno o pozyskanie premierowego tytułu. Postawa dystrybutorów wobec kiniarzy to dyktatura i tylko wielcy i silni mogą z nimi rozmawiać na równych prawach. Czasem multipleksy wywierają na

ciski na dystrybutorów, żeby nie dawali filmu premierowego do kin tradycyjnych działających na ich terenie.

– *Bywa, że prowadzimy długie pertraktacje – raz trzeba tupnąć, innym razem ugiąć się. Jedni są bardzo surowi, z innymi łatwiej się dogadać. Dystrybutorom odpadły olbrzymie koszty produkcji kopii, ale nie dzielą się z kinami tym zyskiem. Stawki się nie zmieniły – nadal odprowadzamy 50 proc. wpływów z biletów. Niedawno zdjąłem zaplanowany seans, bo na sali była impreza miejska. Nie zgłosiłem tego dystrybutorowi, więc za karę nie dostaliśmy dwóch premier. Jesteśmy w lepszej sytuacji, bo robimy dużą frekwencję.*

– *Ale mniejszym kinom dystrybutorzy stawiają warunki finansowe – podpisują umowę np. na 1,5 tys. zł i kiniarz ryzykuje, bo przecież nie może być pewny, że frekwencja będzie wystarczająco wysoka.*

Dlatego kiniarze starają się łączyć, by stanowić przeciwwagę dla dystrybutorów i wielkich sieci. Od wielu lat działa Stowarzyszenie „Kina polskie”. Ostatnio, by się zintegrować i wzmocnić reprezentację środowiska oraz współdziałać w podnoszeniu frekwencji, prowadzący kina tworzą lokalne sieci – bo w grupie jest siła. Dzięki temu udział kin jednosalowych w rynku systematycznie rośnie. W najgorszych czasach wynosił on kilkanaście procent. W tej chwili na niektórych filmach sięga 40 proc. Takie organizacje powstały w Wielkopolsce i Małopolsce. Blisko dwa lata temu przy poparciu Urzędu Marszałkowskiego i Łódzkiego Domu Kultury utworzono Regionalną Sieć Kin Cyfrowych Województwa Łódzkiego.

– *Organizujemy forum wojewódzkie kiniarzy 13-14 marca. Chcemy nawiązać kontakty z firmą, która umieszcza reklamy w kinach, firmą zajmującą się sprzętem kinowym, może pojawi się ktoś z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i opowie o programach unijnych, na które będziemy mogli liczyć w najbliższym czasie. Żeby nasze kina nie ustępowały multipleksom i mogły z nimi skutecznie konkurować w walce o widzów.*

Peretki i pancerze

Bogdan Sobieszek

Pracę w Muzeum Regionalnym w Tomaszowie Mazowieckim Wiesława Bogurat zaczynała przed 37 laty jeszcze w czasie studiów etnograficznych. Potem były stanowiska adiunkta, kustosza, a w 1991 roku została dyrektorem. Gdy niedawno odchodziła na emeryturę, zastanawiała się, co przez te lata było najważniejsze, jakie dziś są mocne strony muzeum.

– *U nas nie ma kapci i napisów: „Nie dotykać eksponatów”. Ekspozycje są otwarte. Prowadzimy warsztaty i interaktywne zajęcia edukacyjne przy wykorzystaniu naszych zabytków i pomocy edukacyjnych. Muzealna Akademia Malucha to 18 stałych grup, które regularnie – raz, dwa razy w miesiącu przychodzą na zajęcia do muzeum. Dzieci poznają historię państwa i symboli narodowych, potem przechodzimy do kultury lokalnej, prezentujemy dzieje miasta, przyrodę naszego terenu i wieś na kolejnych wystawach. To kompleksowy program, w którym od pięciu lat uczestniczy grupa 400 dzieci z Tomaszowa.*

Trudniejsze jest nawiązanie kontaktu z publicznością dorosłą. Podstawowe wyzwanie: jakie działania zaproponować, żeby zachęcić dorosłych do częstszego odwiedzania muzeum. Miesięcznie bywa tu średnio około tysiąca osób, z czego większość stanowią jednak dzieci. Jest grono stałych uczestników wernisaży, koncertów, aukcji – zorganizowało się jako Towarzystwo Przyjaciół Muzeum. Pracownicy robią też imprezy komercyjne – kiermasze czy np. wystawę kotów, na którą przychodzi nawet tyśiąc osób jednego dnia. Tłumy zjawiają się zawsze podczas Nocy Muzeów. Wtedy przygotowywane są dodatkowe atrakcje, ale tak, aby przy okazji zainteresować gości podstawową ofertą.

Muzeum powstało w 1927 roku. Jego początki wiążą się z etnografią. Ekspozyty z okolicznych wsi zbierał podczas wypadów z młodzieżą prof. Tadeusz Seweryn z tutejszego seminarium nauczycielskie-



Wiesława Bogurat

Foto: BOGDAN SOBIEZEK

go. Początkowo zabytki trzymano w prywatnych domach oraz w izbach szkolnych. Później, przed II wojną, muzeum zorganizowano w budynku przy ul. Mościckiego, a od 1950 roku zajmuje pałac zbudowany na początku XIX wieku przez Antoniego hrabiego Ostrowskiego, syna Tomasza – założyciela miasta. Na początku XXI wieku udało się zrobić remont budynku (dach, elewacja, instalacja elektryczna) i stworzyć nowe ekspozycje na miejsce tych z lat 60. Jak mówi Wiesława Bogurat, wystawy stały modernizowane były wedle hasła: „uczyć, bawiąc”. Po raz pierwszy udostępniona została też wieża, gdzie odtworzono wnętrza pałacowe i zaprezentowano meble i malarstwo.

Dziś muzeum prowadzi działy: archeologiczny, historyczno-numizmatyczny, etnograficzny, przy-



Pałac zbudowany na początku XIX wieku przez hrabiego Antoniego Ostrowskiego

rodniczy i sztuki. Zgromadzono blisko 20 tys. eksponatów. Zbiory stale są powiększane. W 2013 roku przybyło ok. 400 obiektów – większość została kupiona, ale są także dary.

Oprócz organizowania wystaw, warsztatów i imprez, muzealnicy zajmują się badaniami naukowymi, które czasem przynoszą niezwykle rezultaty. Pracownik tomaszowskiego muzeum w latach 80. odkrył ważne stanowisko kultury przeworskiej w Cieślówicach Dużych. Pochodzące stamtąd znaleziska stanowią podstawę stałej wystawy archeologicznej.

– *Naszą chlubą jest Rosie, wydobyta z dna Pilicy w 1996 roku przy okazji budowy mostu. To była wielka operacja. Dziś ten ponemiecki transporter opancerzony stanowi wyjątkowy obiekt naszego działu historycznego. Po 50 latach spędzonych pod dnem rzeki i niewielkim remoncie jest w pełni sprawny.*

Rosi „garażuje” na terenie Skansenu Rzeki Pilicy. Inną pamiątką jest sztandar ufundowany przez uczniów i mieszkańców Tomaszowa na 10-lecie istnienia szkoły dla Państwowego Seminarium Nauczycielskiego działającego w Tomaszowie od 1918 roku. Pracownicy muzeum nie mieli pojęcia, że taki sztandar istnieje. Gdy w 1997 roku pojawiły się informacje o nim, ustalono, że znajduje się w jednym z muzeów w Wiedniu. Sprawę załatwiono drogą dyplomatyczną. Po udowodnieniu przez Tomaszów

praw do sztandaru muzeum wiedeńskie zwróciło zabytek.

Do najcenniejszych eksponatów Wiesława Bogurat zalicza dokumenty dotyczące historii miasta i rodziny Ostrowskich oraz zbiory związane z tomaszowianami – żołnierzami walczącymi na wszystkich frontach II wojny światowej.

– *Jeśli chodzi o etnografię, mamy pełny przegląd wszystkich dyscyplin sztuki ludowej. Na wsiach pozostały już tylko pojedyncze perełki. Myślę, że zadanie dla młodych etnografów na przyszłość to badanie i opisywanie naszych zbiorów. Z drugiej strony najbardziej aktualny temat to jak wykorzystać nowe technologie w naszej pracy. Kontakty z odbiorcami utrzymujemy za pośrednictwem strony internetowej. Prowadzimy digitalizację zbiorów, żeby były dostępne on-line. To żmudna praca i czasami się zastanawiam, czy nie idziemy za daleko. Nie ujawniałabym w sieci wszystkiego, a tylko wybrane najciekawsze zabytki. Pełniłyby rolę zachęty. Jeżeli ludzie wszystko zobaczą w Internecie, nie będą chcieli nas odwiedzać. No, ale to są problemy, które będzie musiał rozwiązać mój następcą. Spędziłam tu całe swoje zawodowe życie i bardzo mi zależy, aby „moje” muzeum poszło w dobre ręce i nadal się rozwijało.*

Nowym dyrektorem Muzeum Regionalnego w Tomaszowie Mazowieckim jest Dorota Bill-Skorupa, kierująca dotąd Działem Oświatowym muzeum. *

Odkrywcy pamięci

Anna Guszczar*

W 1953 roku zmarł wielki nasz sąsiad Stalin i my, jako takie małe dziecioczeki, w klasie musieliśmy stać na baczność pod jego portretem, przez który była przewieszona czarna wstęga i musieliśmy mówić: „Umarł Stalin, ale żyje w sercach naszych!” Nasz nauczyciel stał i pilnował, czy się tam ktoreś za bardzo nie kręci, bo chłopaczyska to się śmiali – wspominała Wanda Garstka. Jej słowa spisała wnuczka Alicja Matusiak, uczestniczka zajęć koła dziennikarsko-histerycznego „Odkrywcy pamięci”, działającego przy Miejskim Centrum Kultury w Bełchatowie.

Grupę młodych historyków amatorów tworzą uczniowie gimnazjum. Ich zadaniem jest rejestrowanie i gromadzenie opowieści dotyczących przeszłości miasta i okolic. Przez rok szukali świadków historii wśród najbliższych – babć i dziadków. Główne tematy poruszane w trakcie rozmów to: dzieciństwo, lata szkolne, II wojna światowa i stan wojenny w Polsce. Nie było to takie łatwe, bo wszyscy byli stremowani i nie chcieli opowiadać o swoim życiu przed kamerami. W ruch więc poszły dyktafony.

Kiedy wybuchła wojna, byłam jeszcze mała. Tatusi i pozostali mężczyźni uciekli pod Warszawę. Pozostali też byli spakowani, ale ktoś powiedział, że skoro mamy zginąć pod Warszawą, to lepiej we własnej wiosce. Cała wieś została. Nas było już wtedy pięcioro dzieci. Wszyscy płakali. Niedaleko nas, w Wieluniu i przez nasze podwórka jechały czołgi. Spaliliśmy całą wioskę w takich sklepach na ziemniaki, na dzień wychodziliśmy do domu i pracowaliśmy przy zwierzętach – wspomnienia Marianny Guz spisała Weronika Łukaszewska, wnuczka.

Pomysł na tego typu zajęcia dla młodzieży przyszedł mi do głowy podczas spotkań w ramach kursu doskonalącego „Animator kultury”, który zorganizował Urząd Marszałkowski w Łodzi. Tam właśnie

zetrknęłam się z liczną grupą „pozytywnie zakręconych” i wysłuchałam ich opowieści o tym, czym się zajmują w swoich miejscowościach. Wywołało to chęć do działania, spowodowało przyływ dobrej energii, którą natychmiast musiałam wykorzystać. Z koleżanką Renatą Szustakiewicz, nauczycielką języka polskiego, urządziłyśmy burzę mózgow i to właśnie jej „dzieckiem” są „Odkrywcy”.

Dzięki zajęciom młodzież ma również możliwość doskonalenia warsztatu dziennikarskiego, uczy się archiwizować zebrany materiał. Wszystkie wywiady, opracowane w formie opowiadań, można znaleźć pod adresem: <http://odkrywcy.pamieci.blogspot.com>. Spotkania ze świadkami historii przyniosły wiele dobrego. Zgromadziły przy stołach kilka pokoleń. Nawet najmłodszy słuchali wspomnień z zainteresowaniem, a u starszych wywoływały łezkę w oku. Gościliśmy również w Domu Pomocy Społecznej, gdzie kilkoro pensjonariuszy podzieliło się z nami historią swych lat szkolnych. Największe emocje towarzyszyły wspomnieniom 87-letniej Marianny Karbownik, która opowiadała o przeżyciach z czasów II wojny – ucieczkach przed Niemcami, pracy w fabryce amunicji. Słowa prababci spisała Maria Zakrzewska:

Kiedy zaczęła się wojna, to nas wysiedlili. Tam, gdzie mieszkaliśmy [w Łodzi], była fabryka, ślusarnia, stolarnia. Zrobiono w tym miejscu koszary dla wojska i Polacy tam nie mogli mieszkać. I znów wprowadziliśmy się na wieś. Na wsi jakiś czas byłam, a potem się ukrywałam po polach, po lasach, gdzie tylko... Do domu nie można było przyjść nawet na chwilkę. Jeśli by tak było, przyszliby i zabrali. Pewnego razu tak się stało. Wróciłam do domu i przyszli po mnie. Ciocia, siostra mojej mamy i mama błagały ich, żeby mnie puścili. Prosiły na wszystko, mama płaka-

ła. W pokoju była szafa, przy której stała maszyna, a za nią było otwarte okno, więc wyskoczyłam przez nie i uciekłam. Długo potem wujek mówił, że po prostu nie wierzył, że ja z taką łatwością przez płot przeskoczyłam. Niemiec potem latał po wsi i mnie szukał. Jakaś dziewczyna szła niedaleko, myślał, że to ja, więc zaczął krzyczeć: „Stój, stój, stój!” Przestraszona stanęła, ale na szczęście ją wypuścił. Wściekał się, wariował, tacie przystawił broń do głowy, bo myślał, że on wie, gdzie ja poszłam, że nie chce mnie wydać.

Zwieńczeniem rocznej pracy młodzieży był „Wieczór wspomnień”, który również skupił trzy, a czasami nawet cztery pokolenia. Słowno-muzyczny montaż oparty na wspomnieniach zaproszonych gości połączony został z pokazem zdjęć starego Bełchatowa, muzyką i poezją tamtych lat.

W tym roku „Odkrywczy” przyłączyli się do ogólnopolskiego projektu pn. „Opowiem ci o wolnej Polsce”. Jest on realizowany we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej i Muzeum Powstania Warszawskiego. Przedsięwzięcie przewiduje zapoznanie młodzieży z historią najnowszą poprzez osobisty kontakt ze świadkami historii.

Przywódcy puciekali, ci którzy powinni byli wtedy stanąć w obronie związku. My zostaliśmy – ten „drugi garnitur”, jak się to nazywało i 13 grudnia już zorganizowałem spotkanie podziemne, pierwsze w Bełchatowie, w kaplicy – w obecnym kościele św. Stanisława. Ksiądz Aleksander Łęgowski mi pomógł, otworzył kościół (wtedy jeszcze ten kościół był budowany). No i zebrało się prawie 50 ludzi. Odbyło się pierwsze zebranie „Solidarności”. Powstała struktura podziemna, powstała wtedy gazeta – biuletyn „Solidarność wojenna”, której byłem redaktorem. Powstała grupa, która zajęła się pomocą dla rodzin internowanych, których było w Bełchatowie trzech. I tak zaczęła się działalność podziemna. Działaliśmy do kwietnia 1982 roku, a później na skutek działalności szpiclów, czyli tak zwanych „tajnych współpracowników SB”, wylapali nas. Była sprawa, zo-



Foto: Z ARCHIWUM MCK BĘŁCHATÓW

„Wieczór wspomnień”

staliśmy osądzeni i do więzienia. Pobyt w więzieniu tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że wystąpiłem w dobrych zawodach. Gdyby nie więzienie, to nie miałbym tej świadomości, że „Solidarność” to była jednak sprawa całego narodu i o tym należy pamiętać – wspomnienia Ryszarda Wyczachowskiego spięła wnuczka Dominika Wyczachowska.

W ramach projektu młodzież miała okazję wziąć udział w warsztatach prowadzonych przez pracowników łódzkiego oddziału IPN. W ich trakcie uczestnicy dowiedzieli się między innymi, jak przygotować się do spotkań ze świadkiem historii, o czym należy pamiętać podczas pracy z kamerą i jak opracować zebrany materiał.

Projekt zaplanowano do czerwca. Jeżeli pani Ewa Młynarczyk, dyrektor MCK, nadal będzie przychylna naszej działalności, poprowadzimy go dalej. Marzą nam się wywiady ze wszystkimi działaczami opozycji i zmontowanie z nich dokumentu, który będzie dostępny dla wszystkich mieszkańców naszego miasta. Chcemy również zebrać materiały dotyczące historii kina Kultura oraz bełchatowskiego ZHP. Myślmy o zorganizowaniu gry miejskiej opartej na znajomości historii Bełchatowa. Pomyśłów mamy wiele. *

*Nauczycielka, pedagog, współpracuje z MCK w Bełchatowie

Dialog z historią

Joanna Podolska*

Od stycznia Centrum Dialogu im. Marka Edelmana funkcjonuje w budynku, zaprojektowanym przez izraelskiego architekta Uriego Shetrity (przy współpracy Witolda Gilewicza).

Centrum zostało powołane przez Radę Miejską Łodzi trzy lata temu. Jego głównym zadaniem jest popularyzowanie dorobku różnych kultur oraz promowanie dziedzictwa Łodzi, ze szczególnym uwzględnieniem kultury żydowskiej. Zarówno idea Centrum, jak i miejsce, gdzie wybudowano jego siedzibę, wiążą się z historią łódzkiego getta i żydowskich mieszkańców Łodzi. Wokół nowego gmachu znajduje się Park Ocalałych, w którym sadzone są drzewka symbolizujące osoby, które przeszły przez koszmar getta.

Centrum Dialogu na co dzień walczy z ksenofobią i stereotypami, przede wszystkim poprzez działania edukacyjne. Przeprowadziliśmy zajęcia dla blisko 7500 dzieci i młodzieży. W 2012 r. tematem była 70. rocznica Wielkiej Szperry, podczas której Niemcy wywieźli z Litzmannstadt Getto i wymordowali niemal wszystkie dzieci do 10 roku życia. Z ucznia-

mi rozmawialiśmy też o obozie dla polskich dzieci i o obozie cygańskim.

Od kwietnia 2013 r. przy Centrum Dialogu działa Klub Kuriera, który skupia łódzką młodzież wokół postaci Jana Karskiego. W tej chwili Klub liczy ponad 70 uczniów. Ich zadaniem jest m.in. robienie wywiadów z Ocalałymi oraz Sprawiedliwymi Wśród Narodów Świata. Otwarcie wystawy dedykowanej wybitnemu łódzianinowi – w stulecie urodzin Jana Karskiego, 24 kwietnia 2014 r. – będzie jednocześnie formalnym otwarciem Centrum.

W tym roku będziemy też organizatorem miejskich obchodów 70. rocznicy likwidacji Litzmannstadt Getto. Główne wydarzenia planowane są w dniach 28-30 sierpnia. 28 sierpnia w Parku Ocalałych odbędzie się koncert ku pamięci Ofiar. 29 sierpnia – uroczystości na cmentarzu żydowskim oraz na Stacji Radegast. Przez cały rok będzie można uczestniczyć w wystawach, projekcjach filmowych, wykładach i spotkaniach związanych z żydowską społecznością Łodzi.

Ale choć prawdziwe życie Centrum dopiero się zaczyna, mamy już na koncie wiele ważnych wydarzeń. W 2012 r. narodził się np. Kwartet Czterech Kultur – projekt realizowany we współpracy z Filharmonią Łódzką. Maciej Łabecki (Polska), Max Simon (Niemcy), Zvi Carmeli (Izrael) i Konstantin Manaev (Rosja), zagrali koncerty w Łodzi, w Berlinie, w Tel Awiwie i Sankt Petersburgu. Projekt przerodził się rok później w 24-osobową Orkiestrę Czterech Kultur złożoną z muzyków z Polski, Rosji, Niemiec i Izraela, która w 2013 r. pod batutą Daniela Raiskina zagrała w Łodzi, Poznaniu i Warszawie. W 2014 r. planowany jest kolejny etap projektu. Wszystko zależy od tego, czy znajdą się sponsorzy.



Budowa została dofinansowana przez izraelskiego biznesmena Mordechaja Zissera, którego rodzina pochodziła z Łodzi.

*dyrektor Centrum Dialogu im. Marka Edelmana

1, 22, 29 III, godz. 11-14, s. 308

Filatelistyczne spotkania wymienne

1 III, godz. 17, Sala Kolumnowa

Viva Verdi!!! – w 200. rocznicę urodzin – prezentacje wszystkich oper kompozytora: „**Moc przeznaczenia**” (Metropolitan Opera), wstęp – 8 zł

1 III, godz. 18, Galeria Imaginarium

Wernisaż wystawy zbiorowej pt. „**Foto-obiekt**” (do 29 III)

3 III, godz. 17, s. 308

Łódzki Kaktus Klub: Lekcja botaniki dla kaktusiarzy

– prelekcja Bożeny Dubieleckiej

4-30 III, Galeria Kawiarnia

„**Uroda przyrody**” – wystawa zdjęć członków Łódzkiego Związku Polskich Fotografów Przyrody

7, 14, 28 III, godz. 17, s. 313

Klub Kosmobiologii:

- **Alchemiczna psychologia XXI w.** – Wykład Romana Fierfasa (7 III)
- **Spotkania w IV wymiarze** – wykład Ilony Kubackiej (14 III)
- **Wieczór dyskusyjno-filmowy** (28 III, s. 221)

7 III, godz. 18, Galeria Stara

Wernisaż wystawy prac **Katarzyny Parejko** pt. „Search by Image” (do 29 III)

8-9 III, godz. 10-21, s.: 6, 7, 304, 313, 308, 101, 102

Stowarzyszenie Miłośników ERpegów i Fantastyki: **Łódzki Port Gier**

10, 24 III, godz. 19, s. 103

Stowarzyszenie Akademia Mądrego Życia:

- **Dobrze się sprzedać czyli jak zaimponować swoim CV**
– Anna Goszczyńska (10 III)
- **Motywacja jako główny czynnik rozwoju osobistego**
– Piotr Bojko (24 III)

13 III, godz. 12, Szk. Muz. I i II stopnia w Skierniewicach, ul. Prymasowska 6

Promocja płyty „**Stanisław Klejnas, skrzypek**”, połączona ze spotkaniem z etnomuzykologami oraz występem łódzkiej kapeli Gęsty Kożuch Kurzu.

14 III, godz. 18, s. 221

Koncert jazzowy zespołu Sweet & Hot Jazzband. Wstęp wolny

17 III, godz. 17, Sala Kolumnowa

Cykl oper Giacomo Meyerbeera w 150. rocznicę śmierci kompozytora: „**Hugonoci**” (Sydney Opera House), wstęp – 8 zł

20 III, godz. 17, Sala Kolumnowa

XII Finał Piosenki Francuskiej – w ramach obchodów Dni Frankofonii.

O godz. 19.30 koncert **Vincenta Libena**

20 III – 5 IV, Galeria Nowa

Wystawa zbiorowa po warsztatach intermedialnych „**Ja, tu i teraz 2013**”

21 III, godz. 18-20, Galeria FF

Wernisaż wystawy fotografii **Patrycji Dołowy** pt. „Alternatywne historie” (do 12 IV)

21 III, godz. 18, s. 221

Koło Przewodników Beskidzkich. 67. Wieczór Przewodnicki: **Trwaj chwilo jesteś taka piękna** – piosenki z nowej płyty J. Świerczyńskiego i P. Kolsuta

25 III, godz. 18, s. 408

Towarzystwo Genealogiczne Centralnej Polski:

Przegląd bezpłatnych informatycznych programów genealogicznych, cz. II

– prelekcja Krzysztofa Piesyka

31 III, godz. 18, s. 221

Klub Podróżników: **Izrael – historia i współczesność**

– prelekcja Elżbiety Dworak

W KINIE:

Premiery:

NIC WIELKIEGO (Polska) – 1-13 III

POZYCJA DZIECKA (Rumunia) – 14-27 III

Inne propozycje: SIERPIEŃ W HRABSTWIE

OSAGE (USA) – 1-6 III; NIMFOMANKA – CZĘŚĆ

2 (Dania) – 1-6 III; JACK STRONG (Polska)

– 7-13 III; PŁYNAĆCE WIEŻOWCE (Polska) – 7-13 III;

TAJEMNICA FILOMENY (Wielka Brytania)

– 14-20 III; FACET (NIE)POTRZEBNY OD ZARAZ

(Polska) – 14-20 III; WIELKIE PIĘKNO (Włochy)

– 21-27 III; MASZ TALENT (Wielka Brytania)

– 21-27 III; KAMIENIE NA SZANIEC (Polska)

– 28 III-3 IV; ANIOŁ ŚMIERCI (Argentyna) – 28 III

-3 IV. Cena biletu – 14 zł.



Vivien Leigh

PRZEGLĄD FILMÓW Z VIVIEN LEIGH – Kino

Kameralne, czwartki, godz. 17.30: CEZAR I KLE-

OPATRA (1945) – 6 III; ANNA KARENINA (1948)

– 13 III; TRAMWAJ ZWANY POŻĄDANIEM (1951)

– 20 III; RZYMSKA WIOSNA PANI STONE (1961)

– 27 III. Cena biletu – 10 zł.

www.ldk.lodz.pl/kino



Dotknij Teatru

27 III, godz. 15, sala 323
spektakl Teatru California pt. „**Iluzje**”.

27 III, godz. 17, sala 323
spektakl ArtGrot pt. „**Fade out**”.

28 III, godz. 20, Sala Kolumnowa
spektakl Teatru Chorea pt. „**Muzg**”.

29 III, godz. 15, sala 323
spektakl Teatru PST pt. „**Lekcja**”.

29 III, godz. 17, sala 323
spektakl Anny Ciszowskiej pt. „**Lekcja**”.

Wstęp wolny



ŁÓDZKI
DOM
KULTURY

90-113 Łódź, ul. Traugutta 18
tel. 42 633 98 00, www.ldk.lodz.pl

KURSY: KURSY TAŃCA TOWARZYSKIEGO: KLUB OLD BOY, KLUB TAŃCA TOWARZYSKIEGO * KURS FOTOGRAFICZNY * DRAMA * JOGA * GIMNASTYKA ZDROWOTNA * FITNESS * GITARA OD A DO Z * KOLOROWA PRACOWNIA LUIZY * KURS RYSUNKU I MALARSTWA * ZAJĘCIA MALARSKIE (DLA DOROSŁYCH) * MALARSKIE ABC (DLA MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ) * KURS DLA WOKALISTÓW AMATORÓW * STUDIUM KULTURY WOKALNEJ * ZAJĘCIA WOKALNE

ZAJĘCIA STAŁE: KLUB PŁASTYKA AMATORA



Foto: ZOFIA KOTKOWSKA

Klub Plastyka Amatora

Informacje: Ośrodek Inicjatyw Artystycznych ŁDK
ul. Traugutta 18, pok. 112, tel. 797 326 227, imprezy@ldk.lodz.pl,
www.ldk.lodz.pl

ŁÓDZKI DOM KULTURY

oferuje sale na konferencje, kursy, szkolenia, zjazdy

- * zmodernizowana Sala Kolumnowa na 180 osób
- * jedna sala na 250 osób
- * dwie sale do 120 osób
- * siedem mniejszych sal od 20 do 60 osób.

Wszystkie sale wyposażone w nowoczesny sprzęt multimedialny, większe są klimatyzowane i nagłośnione.

Naszym atutem jest lokalizacja w centrum miasta, sąsiedztwo czterech hoteli a także konkurencyjne ceny, usługi cateringowe i miła obsługa.

ZAPRASZAMY:

ul. Traugutta 18, 90-113 Łódź, tel.: 797 32 61 96, 797 32 61 95
e-mail: administracja@ldk.lodz.pl; www.ldk.lodz.pl

WYDAWCA: ŁÓDZKI DOM KULTURY

ADRES REDAKCJI:

ŁDK, 90-113 Łódź, ul. Traugutta 18
tel.: 797 32 62 17, 42 633 98 00 w. 272
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl
www.e-kalejdoskop.pl

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Halina Bernat, Dariusz Drewnicz,
Bogdan Sobieszek, Aleksandra Talaga-Nowacka

PROJEKT GRAFICZNY:

Paulina Narolewska-Taborowska

REDAKCJA TECHNICZNA:

Krzysztof Miniak

KOREKTA:

Elżbieta Januszko

Druk:

Oficyna Wydawniczo-Reklamowa „Sagalara”
93-232 Łódź, ul. Lodowa 106a
tel. 42 676 26 76

INFORMACJE O IMPREZACH

prosimy przesyłać na adres: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

PRENUMERATA „KALEJDOSKOPU”

RUCH – mieszkańcy Łodzi i województwa mogą zamówić prenumeratę, korzystając ze strony www.prenumerata.ruch.com.pl
pytania: prenumerata@ruch.com.pl
lub tel. 22 693 70 00.

KOLPORTER – tylko instytucje mogą zamawiać prenumeratę w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju.

Informacje pod numerem infolinii 0-801-205-555 lub na stronie internetowej <http://sa.kolporter.com.pl/>

Zamówienia na prenumeratę:

II kwartał 2014 r. do 5 marca (7,50 zł)

II półrocze 2014 r. do 5 czerwca (12,50 zł)